

TYGODNIK LITERACKI

Nr 1 ■ Rok I ■ 17 czerwca 1990

nr indeksu 379689 ■ Cena 1500 zł

w numerze: **KUNDERA** najnowsza powieść (s. 10) **SWIETLICKI** prezentacje (s. 8-9) **JEROFIEJEW** „Rosyjska szpara” (s. 3) **KOMENDANT** o prozie lat 80. (s. 4)

oraz: **CHOŁODOWSKI, JASTRUN, MAJ, MIŁOBĘDZKA, NIEBOGA, RYMKIEWICZ, SAJNÓG, SIWICKA, STALA**

Witold Charłamp

„Wezwanie” pogrzeb i wesele

Suchaliśmy dla siebie gwałtownie miejsca, szukaliśmy miejsca dla naszej niezgody, rozpacz, oburzenia. Wiązaliśmy porwane linie komunikacyjne, nie mogąc odbudować zwalonych mostów i zerwanych dróg, drażyliśmy podziemne korytarze. Komunikaty, wiersze, opowiadania, plotki, groźby, złudzenia — były przepisywane ręcznie przez setki tysięcy kopistów i krążyły przenikając wojskowe rogatki miast i granice godziny milicyjnej strzeżone przez uzbrojone patrole. Nigdy chyba jeszcze słowo pisane nie posiadało takiej wagi. Kłamstwo i samotność miały nas sparaliżować. Tylko słowa prawdy zwracały swobodę ruchów. I były bronią wymierzoną w barbarzyńców, którzy nocą zdobyli nasze miasta i wsie.

To wszystko można by napisać bardziej prosto i bez patosu, który dzisiaj musi drażnić. Ale wtedy byliśmy poważni i patetyczni. I nie tylko dlatego, że wyważono w nocy drzwi naszego świata, a na skrzyżowaniach ulic zamieszkały stalowe monstra, które wypełzły z sennego koszmaru, zaś rzeka kłamstwa codziennie wylewała się ze swoich brzegów. „Solidarność” była nie tylko wydarzeniem politycznym, ale i metafizycznym. Bo nie miała prawa się narodzić i żyć, a jednak uczyniła jedno i drugie. Przebywałem w Sierpniu w gdańskiej stoczni, gdzie poczucie nierealności zdarzenia, jego niemal religijnego charakteru nie opuszczało mnie ani przez chwilę. Nie inaczej było i potem, gdy „Solidarność” zagnieździła się w brzuchu totalitarnego systemu i rosła nieubłaganie. Była to niejako cięża pozamaciczna, która trwała aż szesnaście miesięcy.

Był sam środek złotej gierkowskiej jesieni, ludziom wydawało się, że żyją dostatniej, a Polska rosła... jak to się zdarza przy wodnej puchlinie. Gościłem u siebie pisarza starszej generacji przybyłego z nadmorskiego miasta. Nietrudno się domyślić, o czym wtedy rozmawialiśmy. Była to jedna z tych rozmów, które w tej części Europy są odbijane na przeklętej kalce od ponad stu lat. Ktoś zapukał do drzwi. Wtedy jeszcze nie



Błoński

rys. JACEK GAWŁOWSKI

Jan Błoński

Przeciw liczmanom

W e współczesnym myśleniu literackim toczy się — po cichu, niemal podziemnie! — spór, który dzieli nie mniej może, niż polityczne różnice. Jest to spór o miejsce literatury w życiu zbiorowym. Czując za sobą większość czytelników, wielu pisarzy i publicystów pragnie zobaczyć wreszcie takie książki, które powiedzą „całą prawdę” o podwójnym przewrocie, który miał miejsce w naszym kraju. A jeśli nie całą, to przynajmniej najbardziej istotną albo aktualną... Przeciwno nim podnoszą się jednak — wcale liczne — glosy, które odwrotnie, spodziewają się raczej literatury uwolnionej od kolektywnych zaciekań i — zwłaszcza — obowiązków. Będzie to nareszcie taka twórczość, która zajmie się lekceważonym „ja” albo — jak bardziej patetycznie powiada Zagajewski — „duszą nieśmiertelną”. Zagajewski patrzy na sprawę z Olimpu, ale podobne przekonanie odczuwa się także w anarchicznych zawołaniach debutantów, którzy — rzecz jasna — wołają młode „ja” od dojrzałego „my”, cierpiącego, heroicznego czy nawet szyderczego.

dokończenie na s. 6

wiedziałem, że są to ostatnie chwile, kiedy takie pukanie nie budzi mojego niepokoju, i że dopiero w dziesięć lat później ten dźwięk znowu odzyska swój ciepły wyraz. Do mieszkania wtoczył się mój kolega, brodaty chemik, jakby tańczył z niezwykle otyłą niewiastą. Dźwigał ciężkie paczki, które pomogłem mu zdjąć z ramion. W tych paczkach leżały kartki o formacie A-4 zapisane słabym, ginącym miejscami niebieskim drukiem. Była to powieść Kazimierza Brandysa *Nierzeczywistość* przywieziona do mojego mieszkania w postaci luźnych kartek, by ją tu złożyć i oprawić. Ta bodajże pierwsza powieść wydana w drugim obiegu, została odbita

(z trudem) na powielaczu spirytusowym i pachniała takintensywnie, że doprawdy można się było upić przy późniejszej lekturze. Z czasem spirytus został zastąpiony przez pastę do prania o nazwie „Komfort” i ten zapach kojarzył się potem z podziemną książką.

Kiedy oglądałem ów przybyły do mego mieszkania nietypowy bagaż, znajomy pisarz patrzył na mnie z niemym przerażeniem. Miał za sobą grozę stalinizmu i teraz kręcił głową litując się nad młodymi, którzy rzucają wyzwania potędze, której rozmiarów zdają się nie widzieć.

dokończenie na s. 6

DRODZY CZYTELNICY,

dobrze są tylko rzeczy sprawdzone. Kierując się tą zasadą oddajemy do Waszych rąk pierwszy numer z próbnej, promocyjnej serii „Tygodnika Literackiego”. Jeżeli się Wam spodoba, jeśli się do nas przyzwyczajacie lub nawet polubicie, to warunki prenumeraty podamy we wrześniu, kiedy to rozpoczniemy regularne wydawanie naszego pisma.

w następnych numerach:

poezja: HARTWIG, EKIER, KOEHLER, KOZIOL, KUNZE, DICKINSON, WHITMAN
proza: CANETTI, MYSZKOWSKI, PAŹNIEWSKI, ŠKVORECKÝ
esej: BIENKOWSKI, LUKASIEWICZ, PROKOP, SŁAWIŃSKI
oraz BUREK, WIERZYŃSKI, PAZ, SKIBA & *Kolbaskowo*

twarz tygodnia

Była wykrzywiona grymasem niesmaku. Taki bowiem powinna przybrać wyraz gdy się publicznie czyta czyjeś listy. A dziś jest to szczególnie popularne. Dożyliśmy renesansu epistolografii. Niektóre co prawda, zdevaluowały się, jak te spod szubienicy niejakiego Fuczika. Okazało się, że to nie były listy tylko donosy. Natomiast u nas przyszła moda na wypowiedzenia. Wałęsa wypowiada Wujcowi, Wujec wypomina Wałęsie. Wałęsa wypowiada Michnikowi, Michnik wypowiada się cytatem z Wałęsy. Besançon wyrzuca Michnikowi, ten nie pozostaje mu dłużny. Wszystko to w druku, wszystko jako listy otwarte. Znaczniki drożęją, słowa tanieją.

Ta obfitość korespondencyjna nie wynika z miłości do pióra lub z nieodwzajemnionego uczucia do urzędów pocztowych. To prosta, wręcz trywialna walka o władzę. Tyle, że nie organizująca się wokół programów lecz wokół tematów zastępczych.

Najdziwniejsze, że wszyscy „korespondenci” podpisują się pod pewnym słowem pisany czerwono na białym i ozdobionym dwukolorową chorągiewką. Jak to ma być solidarność to ja chciałbym mieć tę różnicę w dolarach.

Ciężkich żemy czasów dożyli, czasów o których Wieszczy pisał był ongiś:

„Tak kraj w ostatniej zgubie, rządy w poniewierce
Drzemie książę, lud płacze, bogactwa się dzierce.”

Aby się trochę rozweselić proszę przyjąć do wiadomości, że z dniem 6 czerwca 1990 roku przestała istnieć cenzura. To znaczy od kwietnia jej już nie było, ale nie było jakoś inaczej. Widocznie niebyt jest stopniowalny.

Nie ma jej. I bardzo dobrze — nikt po niej płakać nie będzie. Nie znaczy to jednak, że wszystko wolno. Gdy nie ma cenzury za teksty odpowiadają autorzy. Muszą tak robić by nie odpowiadać przed sądami już to koleżeńskimi, już to powszechnymi. Autorze, przeczytaj tekst po napisaniu! Pomysł przed!

Gdybyż tak uczynił Janusz Korwin-Mikke, który w swym piśmie „Najwyższy CZAS” w artykule zatytułowanym „Kiks-bokser” napisał: „Zwracam przy tym uwagę, że jeszcze w 1984 osławiony Raczkiewicz (podkreślenie moje — f.), otrzymał Order 40-lecia PRL!!!”. Zwróciłem uwagę na następujące elementy w tym tekście. Prezydent RP na wychodźstwie w 1984 od wielu lat już nie żył. Myśl, że mógłby być odznaczony jakimś krajowym odznaczeniem jest tak samo bliska prawdy jak enuncjacje o legitymacji partyjnej Adama Michnika. Aby być liberałem nie wystarczy drukować von Haycka — trzeba jeszcze być otwartym na inne postawy. Aby być konserwatystą nie wystarczy nosić muszkę — trzeba być minimalnej znajomości dziejów ojczystych. Kiks. Bokser.

Natomiast Telewizja Polska emitowała 5 czerwca w programie I materiał zatytułowany: „Pisarze — przed Zjazdem Stowarzyszenia Pisarzy Polskich”. Tytułową profesję reprezentowali: Józef Hen, Zygmunt Kubiak, Jerzy S. Sito, Władysław Torlecki i, poniekąd, Michał Jagiełło, który jednak bardziej reprezentował Ministerstwo Kultury i Sztuki gdzie jest vice-ministrem. Jerzy S. Sito domagał się ulg podatkowych dla wydawców: — „Książka nie powinna dotować obrabiarek” — twierdził. Kultura — powiadałi zgrupowani — może się nawet samofinansować byle jej nie gnębił zbytnio fiskusem. Indagowany w sprawie piractwa wydawniczego minister Jagiełło wyznał, że w porozumieniu z Ministrem Finansów postanowiono, iż „okres ochronny” dla drugiego obiegu kończy się z ostatnim dniem sierpnia bieżącego roku. Ci, którzy po tej dacie się nie ujawnią przejdą z kategorii przestępców politycznych do kategorii przestępców gospodarczych. Pan Minister był laskaw zauważyć, że „wpływ na to co robią samorządy będziemy mieli tylko poprzez pieniądze”. Chodzi o działalność w sferze kultury oczywiście. Więc nie będzie w niej ekspedycji karnych i administracyjnych nacisków. Można odetchnąć. Choć nie radzę głęboko.

FIZJONOMISTA

● W piątek 15 czerwca rozpoczyna się w Krakowie FESTIWAL MROŻKA. Wśród kilkudziesięciu przedstawień teatralnych zobaczymy m.in.: teatr z Paryża z *Emigrantami*, teatr z Getyngii z *Portretem*, teatr z Rzymu z *Letnim dniem*, Teatr Polski Dejma z *Vatlavem*, *Tangiem* i *Portretem*, Teatr Stary z *Rzeźnią*, teatr z Mińska z *Emigrantami*, MChAT z *Portretem* i prawdopodobnie teatr z Leningradu z *Tangiem*. Przewidziano przedstawienia kilku szkół teatralnych z Polski i z zagranicy. W związku z festiwalem otwarte zostaną wystawy: „Mrozek” w Muzeum Teatru Starego, wystawa Mleczki dedykowana Mrozkowi, wystawa w Galerii Starmacha według pomysłu profesora Stannego, zbierająca wykonane przez studentów opracowania graficzne dzieł Mroźka, wystawa prac studentów krakowskiego Wydziału Scenografii. Odbędzie się też pokaz filmów reżyserowanych przez Mroźka w RFN oraz filmów według jego scenariuszy. Festiwalowi towarzyszyć będzie sesja naukowa, w której udział zapowiedziało wielu wybitnych znawców współczesnego dramatu i teatru (m.in. Daniel Gerould, André Kozimor, Jan Kott i Jan Błoński). Bohaterem festiwalu będzie oczywiście sam Mrozek, który m.in. obiecał Piotrowi Skrzyneckiemu przejazd koniem na biegunach przez rynek. Festiwal potrwa do 29 czerwca. ● Jak pisać o sztuce, jak ją pokazywać, kupować, sprzedawać dyskutowano na sesji Stowarzyszenia Krytyków AICA, która odbyła się w Krakowie w dniach 23-25 maja. Omówienie w następnych numerach. ● Do 30 czerwca w warszawskiej Galerii Młodych prezentowane będą prace jednego z najciekawszych malarzy młodego pokolenia — Szymona Urbńskiego. ● Ukazał się kwartalnik „Exit”. W reklamówce pierwszego numeru czytamy: „Exit” jest jedynym w Polsce, wyspecjalizowanym kwartalnikiem poświęconym problemom i promocji sztuki najnowszej. ● 6 czerwca o godzinie 12.00 odbyło się uroczyste otwarcie XIII Międzynarodowego Biennale Plakatu. Rozdano nagrody. Za co? zobaczymy 2 września, kiedy zostanie otwarta wystawa. ● Stanisław Fijałkowski, laureat Nagrody im. Jana Cybisa za rok 1989, przedstawiał swoje bardzo interesujące grafiki i obrazy z lat osiemdziesiątych w Galerii Studio od 21 maja do 10 czerwca. ● Od 2 czerwca artyści skupieni wokół gdańskiego klubu „Zak” mają swoją galerię. ● Jeden z ciekawszych tegorocznych dyplomów wywodzący się z pracowni Jarosława Modzelewskiego, to „Obiekty i obrazy” Roberta Maciejuka. Wystawa czynna była w dniach od 1 do 8 czerwca w „Pracowni Dziekanka”. ● W salach wystawowych Zamku Ujazdowskiego oraz na terenie parku Agrykoła będzie eksponowana od 18 do 31 lipca wystawa Ryszarda Ziarkiewicza „Raj utracony”. Po konferencji prasowej, która odbyła się 7 czerwca zadajemy pytanie: Co jest „rajem utraconym”? Komunizm, zaangażowanie, realizm? Z niecierpliwością czekamy na wystawę. ● „Będziemy (...) towarzyszyć temu, co dzieje się istotnego w sztuce poszukującej, bez ograniczania się do wybranych dziedzin; będziemy też w miarę możliwości dokumentować zjawiska ważne czy choćby tylko interesujące, które z takim trudem przebijają się do prasy do niedawna tzw. oficjalnej” — to fragment z majowego numeru „Obiegu”, miesięcznika poświęconego sprawom sztuki, który znów zaistniał na rynku prasowym po trzyletniej przerwie.

przeгляд kulturalny

● Kraków został wybrany na siedzibę Centrum Kultury Europejskiej. Ma to być miejsce spotkań, konferencji, warsztatów, festiwalu i wystaw dla krajów Europy Wschodniej. Główny cel Centrum to pomoc w rozwiązywaniu problemów kultur narodowych i obrona europejskiego dziedzictwa przed szybko postępującą komercjalizacją kultury. ● Liz Rhatas, Margaret Tait, Peter Gidal, Derek Jarman, Jeff Keen, Villieb Raben, Guy Sherwin, Malcolm Le Grice są realizatorami filmów awangardowych z Wielkiej Brytanii. Od 11 do 12 czerwca o godzinie 18.00 w Zamku Ujazdowskim będzie można obejrzeć ich filmy z kolekcji London Filmmakers Cooperative. ● 30 maja w Zamku Ujazdowskim odbył się pokaz autorskich filmów animowanych Joanny Priestley z USA z lat 1980-1988. ● Znakomity krytyk filmowy Bolesław Michalek został mianowany ambasadorem RP przy Kwirynale (8.06). ● Pierwszego czerwca nowym redaktorem naczelnym tygodnika „Film” został Maciej Pawlicki (lat 31). ● Powstał jedenaście nowych filmów polskich. Kręcą m.in. Marzewski, Dziński, Zanussi, Zaorski, Gliński. Ukończył kolejny film Franciszek Trzeciak. ● Na ekrany kin polskich wchodzi w czerwcu następujące filmy — *Niebezpieczne związki*, *Czwarta wojna*, *Pracująca dziewczyna* — wszystkie produkcji amerykańskiej. Weszła też na ekrany nie znana w Polsce komedia niezyczącego Louisa de Funesa — *Przygody Rabiego Jakuba*. ● Ukazał się numer próbnny „Ex Librisu”, który jest kontynuacją niezależnego czasopisma informacyjnego pt. „Obieg bez cenzury”. ● „Trzeba zadbać o prawdziwe polskie menu” — zaproponowano na spotkaniu przygotowującym Sympozjum KBWE na temat Dziedzictwa Kulturalnego, które odbędzie się w Krakowie w dniach od 28 maja do 7 czerwca 1991 roku. Strona polska proponuje podjęcie problemu mniejszości i pogranicza kulturalnego, zwłaszcza przenikania się kultur, a także problemu obecności sztuki dawnej i współczesnej na rynku, kultury masowej, wymiany kulturalnej i dotyczących tych problemów operacji prawnych. ● W dniach od 9 do 10 czerwca w Domu Literatury w Warszawie obradował II Zjazd Stowarzyszenia Pisarzy Polskich. Nowym prezesem stowarzyszenia został Andrzej Braun, prezesem honorowym Jan Józef Szczepański, a honorowe członkostwo nadano Karolowi Wojtyłce.

W dyskusji przeważały głosy krytycznie oceniające sytuację książki i ruchu wydawniczego w naszym kraju. Zwrócono uwagę na stałe pogarszającą się sytuację materialną pisarzy. Winną takiego stanu rzeczy większość mówców uznała niewłaściwą politykę rządu, który „sztukę traktuje jak towar, a książkę na równi z cegłą i gwoździem”. W podjętych przez zjazd uchwałach domagano się m.in.: ustawowej ochrony literatury, kultury i sztuki jako dóbr narodowych (dotacje dla książek niskonakładowych, czasopism literackich, pomoc dla bibliotek, reforma Funduszu Literatury). W innych uchwałach delegaci uznali za konieczne przeciwdziałanie się wszelkim formom antysemityzmu, a także wezwali rząd do

uznania deklaracji niepodległości krajów bałtyckich. Niewiele natomiast mówiło się na zjeździe o sytuacji i przyszłości SPP. ● *Moje przygody z historią* M. Brandysa (Iskry 1990) zostały książką czerwca 1990 roku. Z okazji przyznania nagrody 28 czerwca w Klubie Księgarza odbędzie się wieczór promocyjny. Fragmenty nagrodzonej książki odczyta Zbigniew Zapasiński. ● 25 maja w Pałacu Krasińskich, otwarto wystawę „40 lat «Oficyny Poetów i Malarzy» Krystyny i Czesława Bednarczyków z Londynu”. Książki z charakterystyczną rozetką można było oglądać do 9 czerwca. PIW wydał *Wiersze wybrane* Bednarczyka. ● Do 31 lipca w Muzeum Literatury w Warszawie czynna jest wystawa „Książka nie zna granic”. Dokumentuje ona prace Niemieckiego Instytutu Kultury Polskiej w Darmstadt (m.in. 35 tomów serii wydawniczej „Biblioteka Polska”), a także recepcję w Polsce literatury niemieckiego obszaru językowego po roku 1935 (około tysiąca egzemplarzy książek, od tomików poezji aż po dzieła klasyków filozofii, estetyki i socjologii). Jedną z części wystawy „Polonica Dedeciana II” w całości poświęcona jest działalności pisarskiej, edytorskiej i translatorskiej Karla Dedeciusa. ● Najlepiej sprzedającymi się książkami w Warszawie w ubiegłym tygodniu były: *KGB* Johna Barrona, *ML&AB* Warszawy, 1990; *Wiarą i winą* Jacka Kuronia, *NOWA*, Warszawa 1990; *Nasi w Sejmie i Senacie* (Posłowie i senatorowie wybrani z listy „S”) „Volumen” 1990; *Wyznania kochanki Stalina* Leonarda Gendlina, Warszawa 1990; *Wolne Pismo* MOST; F.A. Ossendowski, *Lenin*, Wydawnictwo „Maj” Warszawa 1990; *Hans Hellmut Kirst Morderstwo manipulowane*, Sapapress, Warszawa 1990; *Wolfgang Jeschke, Pięćdziesiąt lat*, Wydawnictwo Alfa, Warszawa 1990; *Jerzy Micholek, Tylko we Lwowie*, Omnipress, Warszawa 1990. ● Pozostała natomiast niezauważona bardzo dobra książka Jana Pelca *Będzie gorzej* wydająca nakładem Solidarności Polsko-Czechosłowackiej (Wrocław 1989).

M.D.

powiedziało się

„Jak powiedział prezes Dławiacz...”

Krzysztof Król, KPN
(TVP-2, 2 VI 90)

„Związek Literatów Polskich jest teraz brzydką, ubogą dziewczyną, której nikt nie chce”. (...) Chcemy godzić się z Niemcami, Ukraińcami a nie potrafimy pogodzić się sami ze sobą. Czymże jest stan wojenny wobec Trebłinki, Katynia, Oświęcimia. Jest głupstwem”.

Piotr Kuncewicz, prezes ZLP
(9 czerwca, II Zjazd SPP)

artykuł polityczny

Lech, Czech i Rus

Początek dał Czech. Zapytał, czym jest poezja, która nie ocala narodów ani ludzi, a ponadto ostrzegł tych, którzy skrzywdzą człowieka biednego, przed zemstą poety. Czech świadomie wpisywał się w tradycję sięgającą aż do Adama, przekonanego przecież, że pieśń ujdzie cało, bo nawet jeśli leży już w grobie, wstanie i krew wroga wypije. Pytanie i ostrzeżenie, wygłoszone przed laty, w pełni dotarły do odbiorców dopiero w roku osiemdziesiątym. Stały się, obok Matki Boskiej w formie długopisu, podstawowym elementem ówczesnego politycznego pejzażu. Dzięki czemu lud uwierzył w autorytet moralny poety. Poeci nie pozostali dłużni; uwierzyli w in-

stynktowną mądrość ludu. Początek lat osiemdziesiątych był bowiem okresem wiary. Czech dalej wierzył w ludową mądrość, w zgodzie z nieśmiertelnym Adamowym wzorcem; w rozmowie przeprowadzonej przez redakcję „Rus Publici” (2/1990) stwierdził, że tu właśnie, w naszej bananowej republice (bo przecież na każdym rogu można dziś kupić banany, banany stały się najdostępniejszym towarem konsumpcyjnym w Polsce), w przeciwieństwie do przeżeranej od środka czerwiec nihilizmu cywilizacji Zachodu, przechowuje się wartości duchowe. Tylko czy lud, który wkroczył do śródmieścia z bananami i rąbanką, jeszcze wierzy w autorytet poety?

Lechowi udało się (i jak tu nie wierzyć w dialektykę heglowską?) dokonać syntezy: połączył w sobie autorytet moralny poety i instynktowną mądrość ludu. Przyznał to zresztą, niegdyś ukąszony przez Hegla, sam Czech: w niedrukowanym wierszu, który dzięki reprodukcji rękopisu w *Książkach zbójce* Wojciecha Karpińskiego stał się własnością publiczną, on, autorytet moralny, Czesław Miłosz, zwraca się z instynktowną mądrością ludu do instynktownej mądrości ludu uosobionej w Lechu Wałęsie jako do autorytetu moralnego. W tym tekstualnym geście, który znalazł swe dopełnienie w migawce telewizyjnej pokazującej obu noblistów, wyraził się **czas nadziei**: autorytety moralne pokładają nadzieję w instynktownej mądrości ludu, instynktowna mądrość ludu pokładala nadzieję w autorytetach moralnych. I kto wie, być może nasza pokojowa rewolucja, w której nie ma zwycięzców, dlatego właśnie zwyciężyła, że nie był w niej ściśle przestrzegany podział kompetencji. Ta-

poezja murów

BRZECHWA
KRAMIE

Warszawa, Plac Na Rozdrożu

ką przynajmniej nadzieję ma Lech: przeczytał pięć książek na temat demokracji, podsuniętych przez jagogłowych, i ogłosił pokojową wojnę. Tylko czy ktoś, dla kogo metafora jest chlebem powszednim, może jeszcze pokładać nadzieję w metaforach? Gdy widzi nie metaforyczną, wynikającą z odmieniania przez wszystkie przypadki słowa „pluralizm”, ale realną „pokojową wojnę”, gdzie atrofię ekonomiczną tkanki z nawiązką równoważy hipertrofia ambicji?

Przynajmniej tej nadziei nie mają intelektualisci, zgromadzeni 7 maja z inicjatywy Jerzego Turowicza, których dziełem jest tekst *Wołec zagrożenie* opublikowany w „Tygodniku Powszechnym” i nie tylko. Tekst, który — paradoksalnie — nie ma adresata (bo przecież nie jest nim Bóg, Honor i Ojczyzna), już w punkcie wyjścia jest zatem głosem wołającego na puszczy. Tekst, który ma wyłącznie nadawców (nie przeczę, piękna to lista), odwołujących się w swoim życzeniowym myśleniu do retrospektywnej utopii: tradycji „Solidarności”. To znaczy do czasów, gdy autorytety moralne kochały instynktowną mądrość ludu ze wzajemnością, bo światem rządziła miłość.

Nigdy dość przypomnienia Dekalogu. Ale Dekalog jest wyłącznie programem negatywnym, mówi, czego robić nie wolno, nie mówi natomiast, co robić należy, i dlatego nie może stanowić narzędzia polityki. Dekalog obrócony w polityczny program przeobraża się we własną karykaturę: uznaje, że człowiek jest z natury dobry, a wszelkie zło bierze się z warunków, w jakich przyszło mu żyć.

Choć tego rodzaju logika rządziła egzorcyzmowanymi dzisiaj komunistami, jej źródła należy szukać wcześniej: u Jana Jakuba Russa. Intelektualiści, którzy tak chętnie afiszują się dzisiaj swoja chrześcijańskością, powinni częściej przypominać sobie, że natura ludzka jest od zarania skażona grzechem pierworodnym. I pamiętać, że Rousseau oddał swoje dzieci do przytulku, aby móc swobodnie rozprawić o dobroci ludzkiej natury.

Tadeusz Komendant

W ostatniej dekadzie kwietnia odbyła się w Radziejowicach konferencja, w której wzięli udział pisarze radzieccy i polscy.

Tytuł spotkania brzmiał — „Literatura jako język dialogu między narodami w okresie wielkich wstrząsów społecznych”.

Wbrew temu co sugeruje tytuł sympozjum, debatę zdominowały rozważania nad duchowym i politycznym dziedzictwem Rosji. Esej Wiktora Jerofiejewa (gościa podwarszawskiej konferencji) publikowany poniżej za łaskawą zgodą autora jest swoistym aneksem do odbytej przed kilkoma tygodniami dyskusji.

Tekst ten nie mógł dotychczas ukazać się w Związku Radzieckim.

Redakcja

Sekret duszy rosyjskiej polega na tym, że jest w niej szczelina. Czyli — szpara. Czyli — dziura. W każdym razie zdecydowanie nie wykazuje ona hermetyczności. Nie rozpoznaje siebie jako całościowej, skończonej formy.

A gdzie szpara, tam rozszczepienie, rozbicie, pustka. Dźwięk, jeśli postukać, wydobydzie się nie spiżowy, lecz dziwnie głuchy, zagadkowy. Lity przedmiot nie rodzi tylu pytań. Po prostu jest. Dobry czy zły, po prostu istnieje i to wszystko. Tu zaś: kto rozbił? Kiedy? I w jakim celu? Czy może w ogóle od samego początku, z natury pęknięty? Męczące domysły.

Gorzej — umęczające ratowanie. Skoro szczelina, skoro dziura, to ani chybi pójdzie na dno. I Rosjanin wiecznie tonie. A toli się nie topi. W rzeczy samej — to niezatapialny topielec. To wodnik, tyle że nie nauczył się pływać. Więc panika: rzucanie koła ratunkowego, wyciąganie za włosy, taszczenie na brzeg. Leży teraz, cucony. Ale Rosjanin jest nieśmiały. Wstyd mu, że goły, że ogolony i że w ogóle stanowi nie nazbyt estetyczne

krajowcem. Z rozumą pisał o tym na początku stulecia Wasilij Rozanow.

Przez szparę rosyjską duszę widać gołym okiem. Można jej dotknąć, a nawet polechtać. Kiedy, laskotana, dusza rosyjska śmieje się, to śmiech rozlega się na całą okolicę. Rosyjska wesołość jest zawzięta. Łatwo przechodzi albo w rozpacz, albo w grandę. Załaskotana.

Zawzięte są również rosyjskie pieśni. Bajki z kolei — a to ckliwe, a to znów dziwnie cyniczne. Gardzą rozumem i pracą. Triumfuje w nich oszustwo i cud. Władca kniaź — głupiutki Iwanuszka. Oj, nie kocha on swoich braci — folklorystycznej inteligencji.

Nie przypadkiem Rosjanin pociąga teologów. Metafizyczny, z wystającą jak chustka do nosa z kieszeni mistyczną substancją duszy. Przy całej swojej surowej obrzędowości rosyjskie prawosławie też jest pęknięte. Przypomina koło, z którego uszło powietrze. Leży pewnie, ale toczy się kiepsko. Siedząc na takim kole, wyśmienicie jest spojrzeć na gwiazdzone niebo i dumać o rosyjskiej gościnności.

Wiktor Jerofiejew

Rosyjska szpara

widowisko. Nie lubi, gdy go nie lubią. Staje się podejrzliwy, agresywny. Nie wydusisz z niego słowa wdzięczności. Odetchnąwszy na piasku, dźwiga się, mętnym wzrokiem ogarnia wybawców i wolno, ponuro, z determinacją lezie do wody. Żeby znów tonąć i cierpieć. Niespodziewanie zakrada się domysł: ależ on, sukinyś, jest po prostu pijany! Niewykluczone. Ale niekonieczne. Nie w tym rzecz. Rzecz w tym, że jest szczelina — a to wygodne alibi dla postradania rozumu.

Nie można żyć normalnie ze szparą. Ze szparą nie można uczciwie pracować, rozmyślać o bycie, obrastać w dobra, kupować jedwabne krawaty. Ze szparą nie sposób wybudować równej drogi ani zostać aptekarzem. Szparę można wprawdzie zasłonić, jak zwierzę spuszczone między nogi ogonem. W najgorszym wypadku można ją zatkać. Dźwięk jednakże tak czy siak wydobydzie się nie taki: głuchy, zagadkowy. Pozostaje tylko udawać, że wszystko jest w porządku. Kombinować i zwodzić.

Pęknięcie — to wielki przywilej Rosjanina. W to, że jest najlepszą z istot stworzonych przez Boga, Rosjanin, nawet najskromniejszy z Czechowem włącznie, nigdy nie wątpił. Nie wątpił także i w to, że zeń gównem. Całej rosyjskiej filozofii aż dech zapierało od tej nieoczekiwanej-niespodzianej biegunowości. Cała rosyjska literatura zachwycała się głębią swego bohatera. Inne narody też się zdumiewały, niczego nie pojmując. Bo i jakże miały pojąć, skoro wszystko jest u nich zamknięte, skoro nie uswiadczysz ani szczelinki?

Rzucić no tylko na Rosjanina przenikliwe spojrzenie. Popatrz na ciebie przenikliwie. I wszystko jasne, nie trzeba słów. To właśnie nie uda ci się z obco-

Wódka — to z pewnością jedyna święta woda, która, niezależnie od tego, jak z nią walczyć, na Rusi nie zaginie.

Przez szparę dusza rosyjska ogląda świat bezpośrednio, nie korzystając z pomocy trywialnego ludzkiego wzroku, i bezpośrednio komunikuje się z Bogiem. To unikalne doświadczenie. Perspektywę wyznacza w nim nie wieczność, lecz szpara. Doświadczenie to stanowi dobro kultury rosyjskiej. Przeszłej i przyszłej. Jej szczęście i dumę. W odróżnieniu od niechlujnej rosyjskiej cywilizacji.

W cywilizacji — Rosjanie są urażonymi naśladowcami. Wydaje się im, że wszystko wynaleźli wcześniej i doskonalej niż inni, tyle że zostali obrabowani przez Żydów i resztę obcych. By posłużyć się rodzinnym przykładem: mój daleki, tajemniczy krewniak, Popow, wymyślił radio jeszcze przed Marconim. W ZSRR wie o tym każde dziecko. Ja też, naturalnie, w to wierzę.

Francuski podróżnik, markiz de Custin, autor *Rosji w 1839 roku*, do tej pory zresztą wsutek rozmaitych urazów nie wydanej u nas w całości, zauważył, że nieszczęście Rosjan nie polega na tym, że naśladowają Europę — lecz na tym, że naśladowają ją źle. W sto pięćdziesiąt lat po książce Custina dusza rosyjska, jak niegdyś, żadną siłą nie potrafi określić, kim jest — Europejką, Azjatką czy może kimś najzupełniej osobliwym. Najtęszsze rosyjskie głowy łamią się nad tym problemem. W rzeczy samej, dusza rosyjska jest archaiczna. Lęka się wszystkiego, co „obce”, z coca-cola włącznie. Wydaje się jej, że ta „trująca woda”, wymysł zamorskich czarowników, pozbawi ją niewinności. „Obcy” strój również ją straszy. I żadne pokiołkinowskie wje mody rosyjskiej, pokroju kolekcji Borysa Zajcewa, nie



rys. WACŁAW SYSOJEW

przekonają jej, że to miłe Bogu dzieło. Nie zbiją jej z pantafelki żadne przemiany polityczne: bije pokłony sile, gardząc słabością. Jest monarchistką a nie pluralistką. I w tym swoim pierwotnym niewolnictwie czuje się wolna.

Szpara — to główna przyczyna odwiecznego rosyjskiego niezadowolenia, zachłanności, niewybredności, rozszczeń i lenistwa. Najlepsze zmitologizowane wyobrażenie duszy rosyjskiej stanowi Oblomow. Smacznie i zdrowo przespał swój żywot. Próbował się zakochać — nie wyszło. Energia miłosna ulotniła się przez dziurę. Przez tę dziurę uchodzi cała energia życiowa. W dziurze gromadzą się wszystkie brudy świata. Żeby zachować energię, trzeba długo spać. Rosyjska dusza potrzebuje spokoju. I dusza rosyjska nigdy spokoju nie zazna.

Naród, który bez mała tysiąc lat temu uciekł w północno-wschodnie tajgi przed łaskawym słońcem i stepowymi najazdami Kijowa, nie przeczuwał, że tam, na mokradłach, zrodzi się nowa społeczność ludzi odosobnionych — z okaleczonymi duszami, skazanymi na cierpienie przez surowe prawa klimatyczne, lichotę ziemi i rozpaczliwą, wymuszoną beczynność.

Nieznany na Zachodzie historyk rosyjski, Kluczewski, zmarły na sześć lat przed bolszewicką rewolucją, o ileż więcej miał racji niż powszechnie znany Dostojewski, gdy wskazywał nie na soborowość i kolektywizm duszy rosyjskiej, lecz na jej beznadziejne osamotnienie. „Wielkorus najlepiej czuje się sam, gdy nikt mu się nie przygląda, i z trudem przywyka do zgodnego, pospólnego działania. Jest zamknięty i ostrożny, a nawet bojaźliwy, wiecznie zagłębiony w siebie, nieprzyjazny, lepszy w samotności niż w gromadzie, lepszy na początku dzieła, gdy nie wierzy

jeszcze w swoje siły ani w powodzenie, niż u kresu, gdy dojdzie już do czegoś i zwróci na siebie uwagę: niewiara przydaje mu mocy, sukces zaś ją osłabia.

Niecierpliw niedouk i wyrafinowany polityk Lenin, zlekceważwszy Kluczewskiego, przekształcił rewolucję rosyjską w długotrwałe torturowanie rosyjskiej duszy. Któż jednak na serio zaprzeczy temu, że ideał komunistyczny pod wieloma względami współgrał z „dziurawą” rosyjską świadomością? Że Marks — stanowiąc tylko powód, a nie przyczynę owych dążeń do urawniłowki, owej zawistnej złości wobec co dostatniejszych pobratymców, które opanowały przeciętny rosyjski charakter z jego „dziurawą” entropią?

Dziś mózgi rosyjskie pławią się w niebywałych przemianach. Czyżby szpara miała zarosnąć, jak rana?

Chłodnego marcowego ranka 1990 roku starszy, gadatliwy pocziwina-taksówkarz, wiózł mnie na międzynarodowy dworzec lotniczy Szeremietiewo. Dowiedziawszy się, że lecę do Paryża, z nietajoną ciekawością zapytał:

— A w Paryżu to naprawdę wszyscy chodzą w białych spodniach?

Wydawało mi się, że obaj postradaliśmy rozumy. Który to już raz podobne barbarzyństwo kazało mi obawiać się — o nowe plany Europy, o rosyjską inteligencję przypatrującą się rozgrywkom parlamentarnym, o moskiewską i leningradzką młodzież rosnącą obecnie bez żadnej partyjnej opieki, o mieszkańców Litwy i Kaukazu, a także o mnie samego i mojego taksówkarza. Przez szparę uciekło tysiąclecie. Zegar znów pokazywał rosyjską wieczność. Przez szparę mrugała do mnie wesołość ufna, chytra, niechlujna dusza, marząca o dolarach i Stalinie.

przełożyła Danuta Ulicka

Szli krzycząc: „Proza! Proza!” — wtem jednego razu

Chcąc krzyczeć zapomnieli na ustach wyrazu;

Ale pewni, że Bóg im, co trzeba, podpowie,

Szli dalej krzycząc: „Powieść! Powieść! Powieść...”

Wtem Bóg z Mojżeszowego pokazał się krzaka,

Spojrzał na te krzyczące i zapytał: „Jaka?”

Rzec będzie o zapomnieniu na ustach wyrazu. O chorobie toczącej nasze rozważania o prozie, których modelowym przykładem może być „Czarna dziura lat osiemdziesiątych”, dyskusja drukowana w „Tygodniku Powszechnym” (13/90). Dopóki bowiem nie zostanie jasno powiedziane, co należy rozumieć przez „prozę”, wszelkie diagnozy będą połowiczne, a nawet wygłaszane w dobrych intencjach jeremia-szowe tyrady — przesadne. Co więcej, może pojawić się podejrzenie, że grono szacownych osób zachowuje się niczym Molierowski monsieur Jourdain, który — usłyszawszy od nauczyciela filozofii, że każda myśl da się wyrazić wierszem lub prozą — zawołał: „Więc ja już 40 lat mówię prozą, nie mając o tym najmniejszego pojęcia!”

Tadeusz Komendant

Trywialne pytanie o prozę

Zasoby literatury emigracyjnej, która dzieć przeżywa swoją chwilę prawdy, są na wyczerpaniu. Na palcach jednej ręki można wliczyć wątki, które nie weszły jeszcze w krwiobieg krytyczny: poszukiwanie straconego czasu, dotyczące już nie samotnej jednostki, ale całego narodu, podjęte przez Włodzimierza Odojewskiego; artystyczny, bo na stosunku do słowa zbudowany przez Zygmunta Haupta pomost między „szkołą ukraińską”, opisującą ból w ucietej ręce (Kuśniewicz, Buczkowski, Wojciechowski, Strykowski, Odojewski, Paźniewski...) a trędotą prywatnością Białoszewskiego; daleko swym radykalizmem przewyższająca szkołę tuż powojennych obrachunków inteligentnych krytyka kultury zachodniej dokonana przez Andrzeja Bobkowskiego; przypominające trochę zabawy psa potyczki ze stereotypem polskości, dokonujące się pod duchowym patronatem Gombrowicza (Marian Pankowski, Olga Scherer); sentymentalne w najgorszym i tragiczne w najlepszym sensie tego słowa wygnające dzieło Hlaski. Jeśli nawet tematów dałoby się wliczyć więcej, w niczym nie zmienia to faktu, że po literaturze pisanej na obczyźnie trudno spodziewać się zasadniczych rewelacji i przewartościowań — triumf pisarstwa Józefa Mackiewicza, którego jesteśmy świadkami, nie jest początkiem, ale logicznym zwieńczeniem procesu włączania tego, co z różnych powodów uważane było za obce, w obręb jednej polskiej literatury. Dużo tu jeszcze zostało do zrobienia, ale warunek podstawowy jest jeden: musimy uświadomić sobie, że z górą czterdzieści lat mówimy „prozą”. Nawet jeśli nie mamy o tym najmniejszego pojęcia.

Bowiem mówimy prozą, aby coś komuś przekazać — i wówczas interesuje nas przede wszystkim referencyjna funkcja słowa. Niestety, że słowa pisanego słodka naiwność pana Jourdaina została wykluczona. Żadnych marzeń — Tomasz Burek dixit. Można ubolewać nad tym faktem, jak czynili to marksistowskie teoretycy literatury, nostalgicznie sniący o nowym eposie. Można nie przyjmować tego faktu do wiadomości, jak czynią to jeszcze spóźnieni autorzy raportów o stanie wojennym. Raz utraconego dzwiewictwa nie jednak przywrócić nie jest w mocy; w miejsce spontanicznego mówienia pojawia się pisanie, zamiast bezkrytycznego nazywania świata — świadomie zorganizowany przekaz artystyczny. „Proza”.

Ale czym owa „proza” jest?

Czy jest nią wymierzanie sprawiedliwości widzialnemu światu, obraz epoki, w tym, co szczegółowe pozwalający dojrzeć to, co ogólne — burzę w kropki wody? Byłaby to zatem powieść po bachtinowsku zachłanna i anektująca coraz nowsze obszary, łamiąca wszelkie wyznaczniki gatunkowe encyklopedyczna synteza — a może silva rerum? — którą, gdyby nawet cały świat miał ulec zagładzie, należałoby ocalić, bo w niej zawiera się wszystko; powieść zachłannie wychylona w stronę rzeczywistości, zafascynowana przedmiotem, w nim znajdująca swoje uzasadnienie i sprawdzian.

Czy może ma być nią zreżymowana skonstruowana fabuła, na chwilę pozwalająca czytelnikowi oderwać się od mizerni otaczającego go świata, w którym punktów orientacyjnych nie widzi, i wejść w światy inne — na przykład wyobrażone? Nie musi w nich chodzić jedynie o to, czy Herkules Poirot odszuka morderców a hrabia Monte Christo pomści swe krzywdy; mogą to być przecież niewiarygodne koleje losu Ebenezera Cooke'a (jak u Bartha) bądź, jak u Eco, toczące się w rytmie Apokalipsy śledztwo brata Wilhelma. A nawet jeszcze mniej, nie ma potrzeby światów wyobrażonych, bo powieść taka mogłaby być budowana z elementów codziennego doświadczenia, choć rzeczywistości postreganej jako chaos przeciwstawiałaby pojednanie przez fabułę. Swoją przedmiot oceniałaby probierzem fikcji.

Czy może jest nią wreszcie „proza” zafascynowana własnym cudzysłowem: doświadczenie językowe z dobrą wiarą przyjmujące fakt, że materia pierwszą, jaką dysponuje piszący, są słowa? Proza modernistyczna zatem (używam tego słowa w znaczeniu, w jakim funkcjonuje wszędzie poza Polską), podziwiająca awangardową wiarę w postęp i sublimację własnych form, choć również proza drążąca socjolekt i idiolekt, jako że „granice mojego języka są granicami mojego świata”, i tam — w stratyfikacji różnych gatunków wypowiedzi — tro-

pięca niedostępne gdzie indziej doświadczenie, nim wreszcie padnie na kolana przed absolutem mowy, która ma stać się „domostwem bytu”? Między Mallarmem, socjolingwistyką a Heideggerem odległości są mniejsze niż można sądzić; tę lekcję — zauważoną i nawet opisaną — przerobiła polska poezja, przykładem ewolucja Barańczaka i Zagajewskiego; dlaczego nie miałyby być ona udziałem polskiej prozy?

Oczywiście język bez świata istnieć nie może, to awangardowa utopia, nawet jeśli Tymoteuszowi Karpowiczowi, kiedy pisał *Odwrocone światło*, wydawało się, że coś takiego tworzy. Tym bardziej nie może zaistnieć język bez świata w prozie, gdzie autoteliczność (Jakobsonowska funkcja poetycka) nigdy nie jest w stanie zapanować nad całością wypowiedzi. Możliwe są jednak różne sposoby nawiązywania przez „prozę” relacji między językiem a światem, między podmiotem a przedmiotem. W pierwszym hipotetycznym modelu uprzywilejowana jest rzeczywistość na niekorzyść fikcji; w drugim fikcja (fabuła) zostaje powołana po to, aby wyznaczyć punkt równowagi między rzeczywistym bądź wyobrażonym światem a zastosowanym do jego opisu językiem; w trzecim akcent pada przede wszystkim na mowę. Różne zatem cele, inne strategie, odmienne efekty; choć zawsze przy traktowanym jako pewnik założeniu, że mamy do czynienia ze sztuką — a tej nie zastąpią najszlachetniejsze intencje — to znaczy mówimy „prozą”.

Odmienność tych trzech modeli nie jest specyficznym polskim fenomenem, wynika z dwudziestowiecznego rozwoju sztuk fabularnych w świecie, gdzie zwierciadło poznania zostało strzaskane, a hierarchicznie uporządkowany model uniwersum zastąpiło najpierw niebo gwiazdziste równoważnych podmiotowych punktów widzenia, później narastająca entropia. Chaos, miazga. Można ubolewać nad tym faktem i jak Miłosz — w *Ziemni Ulro* oraz w udzielanych ostatnio wywiadach — próbować ten proces odwrócić. Nie można tego faktu nie brać pod uwagę. Bo wówczas, pozornie zaangażowani w spory o wartości, które po paru latach okazują się taktycznymi rozgrywkami, najczęściej personalnymi (czy mogło być coś bardziej jałowego, niż dyskusja o stanie polskiej prozy na łamach „Literatury?”), siedzimy jak pan Jourdain na tureckiej ceremonii.

2.

Początek lat osiemdziesiątych — to wprowadzenie stanu wojennego. Ale to również, kto wie, czy nie przyspieszone tym wydarzeniem, odejście całej pisarskiej generacji. Sfera polityki i tworzone przez nią złudzenie zatrzymanego czasu (bo „czarna dziura lat osiemdziesiątych” jest przede wszystkim fenomenem psychologicznym, wyprodukowała freudowskie stłumienia i psychotycznie odreagowywane traumy) przysłoniła oczywistość: pisarze tradycyjnie zaliczani do średniego pokolenia awansowali na seniorów, bo starszych od nich powoli zaczęło brakować. Do grona polskich osobliwości, dzięki którym słynimy na świecie jak Węgrzy dzięki salami, przybyła jeszcze jedna: nestorzy, którzy zachowują się jak dzieci i robią — ze względu na obowiązującą strategię — pokoleniową rewolucję. Brak nowych pokoleń literackich tu ma między innymi swe źródło.

Naturalny odruch obronny wobec politycznych zagrożeń kazał bowiem bronić istniejącego status quo ante. Co więcej, stan ten doprowadzić do maksymalnej przejrzystości, nawet za cenę uproszczeń. Rzecz w tym, że zegar polityczny można zatrzymać (dowiódł tego generał Jaruzelski; żadne późniejsze manipulacje z zegarem pomóc mu nie mogą, tego rachunku wyrównać się nie da), wyłączyć można także subiektywne przeżywanie czasu. Natomiast zegar biologiczny bije nieubłagannie. Czyż nie jest potwierdzeniem tej smutnej prawdy groteskowy fakt, że na założycielskim zjeździe Stowarzyszenia Pisarzy Polskich, na pytanie z prezydium „a gdzie jest nasza młodzież?” podniosło się z sali kilku dobiegających czterdziestki facetów?

Nie było powitań — owego naturalnego dopływu nowych twórców i jawnie odbywającej się wymienności elit — bo nie było pożegnań. I jedne, i drugie odbywały się połowicznie: jak to na placu boju, jak to dzieje się wówczas, gdy Ojczyzna w potrzebie. Toteż może owa prawdziwa anegdota, bardziej niż Wielkie Słowa i rozdrapywanie ran, oddaje miarę spustoszeń, jakie dokonały się w naszym życiu literackim. Bo dokonały się, czemu

przeczyć trudno, a kompleks obłączonej twierdzy nie jest ich przyczyną, lecz raczej późnym skutkiem. Może dzięki niemu nawet pewne wartości i przerwane wątki przetrwały... Namysł nad kondycją polskiej prozy w roku dziewięćdziesiątym musi to brać pod uwagę. Choć nie po to, aby wysmiewać się z obłączonej twierdzy, w zmienionych warunkach powtarzać za Miłoszem „szlachetność, niestety” i z Zagajewskim przeciwstawiać solidarności samotność; mimo że to stanowisko bywa mi bliskie, wiem, że towarzysz Świrgoń, przywoływany tu pars pro toto (inaczej zresztą towarzysza Świrgonia przywołać się nie da) istniał naprawdę i w którymś momencie uwierzył, że jako duch dziejów zajęłszy kobyłę historii. Choć również nie po to, aby wpadać w samozadowolenie, cieszyć się z jednoznaczności dokonywanych wówczas wyborów etycznych i politycznych i tam szukać wrogów, gdzie ich nie ma. Bo nie uwierzę, by wrogiem literatury była literatura; tak samo metafora „czarnej dziury” niczego mi nie wyjaśnia — oddaje stan ducha, nie bieg rzeczy. Odkreślanie czarna krechę tego, co było od tego, co będzie jest zreżymowanym zwrotem retorycznym w przemówieniu sejmowym, trudno natomiast owego zwrotu dokonać w materii literackiej i twierdzić, że rok 1989 będzie takim samym przełomem jak rok 1918, bo skończyła się „proza peereli” a zaczyna proza Najjaśniejszej Rzeczypospolitej. Ja przynajmniej nowego Skamandra i tych, którzy chcieliby rzucić z ramion płaszcz Konrada nie widzę, przypuszczam nawet, że gdyby pojawili się tacy, rychło zostaliby przywołani do porządku. Natomiast widzę, że owa „czarna dziura” ma na tyle silną moc atrakcji, by dalej wciągać myślenie. Niczym limbus puerorum jest sfera niedospełnień i niedoistnień. Tym bardziej przeto za znikomków, którzy błakają się tam, wypada odmówić zdrowaśkę.

Nie zamierzam w krótkim tekście dokonywać tego, czego przez prawie dziesięć lat zrobić się nie udało. Chcę natomiast zastanowić się nad trzema — traktowanymi symbolicznie — odejściami i nad pozostawionym nam przez nie przesłaniem. Nad ich niemyim testamentem.

3.

Najpierw i przede wszystkim Iwaszkiewicz, bez którego mitygującej niekiedy, czasem denerwującej, ale zawsze istotnej obecności zaczęły się lata osiemdziesiąte.

Truizmem byłoby stwierdzenie, że wówczas nastąpiły dla jego pisarstwa czasy niełaskawe. Tomasz Burek po lekturze skandalizujących artykułów Nowickiego i Walca, zamieszczonych odpowiednio w „Kulturze” i „Kulturze Niezależnej”, stwierdził wręcz, że to dzieło stało się dziełem niczym, bo nastąpiło zerwanie dyskursu: dotychczasowe sposoby mówienia o pisarstwie Iwaszkiewicza, łączące w niestrawną papkę odwieczne problemy egzystencjalne i nowy polonistyczny żargon, straciły rację istnienia, nie pojawiły się natomiast sposoby nowe. A ten brak języka, którym można byłoby mówić wiarygodnie o pisarzu, jest przecież także świadectwem domniemanej nieatrakcyjności jego przesłania, jak gdyby wszystko, co napisał, stało się martwe. Jego kult sztuki był zwykłym pięknołuchostwem. Freudowski instynkt śmierci, przenikający tyle jego dzieł — topornym nihilizmem. Akceptację tego, co jest i w granicach tego co jest, lepiej wyraża Zagajewski. I nawet do olimpijskiego spojrzenia, wynikającego z wiedzy o znikomości ludzkich igrzysk, odmawia mu się prawa, bo pisał ody do Bieruta, lubił górniczy mundur i nosił wełniane skarpety... W tej sytuacji trudno mówić o jakimkolwiek czysto artystycznym przesłaniu, o nowych drogach, które zostały otwarte dzięki jego dziełu.

Otóż przynajmniej ten ostatni punkt wydaje się wysoce problematyczny. W wielokształtnym i gigantycznym pisarstwie Iwaszkiewicza istnieje nurt, który okazał się nadszpedzającym produktywny. To jego późne pisarstwo, gdzie zostały ograniczone kompetencje fikcji literackiej (*Petersburg*, *Ogrody*, *Podróże do Polski*), a jej elementy pojawiają się tylko wtedy, gdy z różnych powodów własne i cudze doświadczenia domagają się kamuflażu, jak w stereotypowym dopisku, wieńczącym reportaż na łamach czasopism społeczno-kulturalnych. Owa proza bez fikcji (określenie Henryka Berezę) jest przesłaniem, jakie zostawiło nam późne pisarstwo Iwaszkiewicza, z którego — najczęściej nieświadomie — korzystała literatura lat osiemdziesiątych. Lepiej, gorzej. Częściej jednak gorzej, bo zamierzała wyłamywać dawno otwarte drzwi i egzorcyzmować fikcję literacką, jak gdyby ona jedynie była winna koksownikom na ulicach i nocnym patrolom, nie zdając sobie sprawy, że drzwi dawno stoją otworem. W innych co prawda celach otwarte, choć dzięki temu pozwalające zdać sobie sprawę, że równanie, gdzie z jednej strony umieszcza się koksowniki, z drugiej literaturę, jest z gruntu fałszywe. Mimo że stoi za nim długa tradycja literacka, sięgająca co najmniej czasów Mickiewicza, który chciał słowo przekuć w czyn.

Wiedziało o tym Andrzejewski. To odejście drugie i wynikające zeń przesłanie o kryzysie tradycyjnie pojmowanej fabuły. Mam tu na myśli jego dramatyczną walkę z postulatem epickości z owym, sprawdzonym przez parę wieków rozwoju powieści przekonaniem, że fikcja literacka jest w stanie unieść złożoność świata, realny chaos przemienić w kosmos narracji i zmusić współczesnych, by w lustrze słów dojrżeli bez upiększeń swoją twarz. Legendarna *Miazga* dotarła do czytelnika na przełomie lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, najpierw w edycji *NOWej*, później jako jedna z pierwszych książek oficjalnie wydanych (choć ze skrótami) w stanie wojennym. Już sam tytuł był świadectwem klęski: w świecie o narastającej komplikacji, w świecie różnicowego spadania we wszystkich kierunkach, tradycyjnie pojmowanych kompetencji fabuły utrzymać się nie da. Dzieło zniszczenia obejmuje także materię literacką. Ten — negatywny — wniosek Andrzejewskiego najpełniej opisał Tomasz Burek. A kto wie, czy nie jest jego pozytywnym potwierdzeniem fakt, że może ostatnia książka rządzona postulatem epickości, która pojawiła się mniej więcej w tym samym czasie (myślę o trytomowym dziele Krzysztonia), nazywała się — nomen omen — *Oblęd*. Bo między „miazgą” a „oblędem” rozgrywa się kryzys fabuły. W epice zgodność między przedmiotem a podmiotem, *adequatio rei et intellectus* zapewniana zwykle nieświadomie przyjmowana konwencja. Przyjmowana nieświadomie, dlatego uchodzi za „naturalną” i wciela się w medium fabuły. Podtrzymuje ją pewien obraz świata: ten świat ma — jeśli nawet nierzeczywisty, to przynajmniej postulowaną — kos-

miczną oś. Kiedy tej osi zabraknie, kiedy świat zacznie przypominać labirynt pozbawiony centrum o nieskończonej ilości wejść i wyjść, gdzie indziej trzeba szukać oparcia. Na przykład — czemu nie? — w oblędzie...

Bądź w języku, jak Białoszewski. To odejście trzecie, jedyne może naprawdę zauważone, także dzięki Kici-Koci, która pierwsza dostrzegła bezbrzeżną, wynikającą z okrutnej głupoty (a głupota najczęściej bywa okrutna i nie zdaje sobie z tego sprawy) komiczność stanu wojennego. W „szumach, zlepiach, ciągach” Białoszewskiego odczytujemy dziś, odciśnięty w języku, stan społecznej świadomości; chcielibyśmy przemienić je w społeczny konfesjonał. Ale ten program pisarski ma awangardowe korzenie; wiedzą o tym jego najlepsi komentatorzy (Janusz Sławiński, Stanisław Barańczak), wie o tym Henryk Berezę, z okazji *Donosów rzeczywistości* przywołujący — a rzadko posługując się cytatem — tekst Przybosa z 1936 roku: „Mamrotanie, gadanie — gadanie, prawięcie, gwara. Pilniejsza niż znajomość żywych ludzi jest znajomość mówionych słów. Niech szumi ten obszerny gwar nieogladzonego terkotu, niechaj chrobotą o ucho ordynarny mruk, niech łomoce dudnienie, niech huczy hyr. Z grubego rozruchu mowy wyciągnąć jak linię jasną i prostą jedno zdanie, drugie zdanie, swoje zdanie. Tak odbija się język poetów od mówiącego ludowiska, tak wznosi się ponad poziom bezkształtnego szumu, tak oddycha między falami bełkotu...” Dlatego przesłanie Białoszewskiego — *wiarygodność języka* — ma podwójne ostrze: z jednej strony chodzi o jego uprawomocnienie poprzez „znajomość mówionych słów”, z drugiej — o awangardowy postulat przemienionego słowa.

Trzy odejścia: Iwaszkiewicz, Andrzejewski, Białoszewski. I trzy przesłania: proza bez fikcji; kryzys fabuły, wynikający z poznawczego kryzysu w obrębie świata, której trzeba zatem znaleźć nowy punkt oparcia; wiarygodność języka.

Z tym dziedzictwem wkroczyła proza polska w lata osiemdziesiąte.

4.

Pytanie, jakie należy teraz postawić, nie brzmi zatem: jak poradziła sobie proza polska z wyzwaniem chwili?, lecz: co zrobiła ze swym dziedzictwem w zmiennej politycznej i społecznej sytuacji? Zamiast zatem szukać w owej „czarnej dziurze” objawień (te zawsze są podejrzane; zachwyt Błońskiego nad *Weiserem Dawidkiem* bierze się być może i stąd, że ta książka tak bardzo mu coś przypomina — na przykład *Dziecko przez ptaka przyniesione* Kijowskiego...; w niczym zresztą nie chcę umniejszać znaczenia sympatycznej książki Huellego), należy ową czarną dziurę zagospodarować. Pokazać otwarte możliwości, kontynuacje i wyzwania.

Nie wątpię, że takie wyzwania były trzy: ze strony rzeczywistości, której miała sprostać proza bez fikcji, ze strony fabuły, której należało znaleźć inny niż realistyczna konwencja punkt oparcia, ze strony języka, który trzeba było uwiarygodnić. Wszystkie bowiem elementy, gwarantujące pisarzowi komfort (a markizie przyjemny spacer po piątę, nawet jeśli miała przechadzać się jak lustro po gościńcu), uległy pod koniec lat siedemdziesiątych zakwestionowaniu. W tym sensie miał rację Henryk Berezę: prozę polską czekała rewolucja artystyczna, to znaczy ostateczna rezygnacja z dziewiętnastowiecznego modelu prozy (Jarosław Iwaszkiewicz, ostatni i może jedyny prawdziwy nasz pisarz dziewiętnastowieczny, pod koniec życia sam z tego modelu zrezygnował). Niestety, naturalną ewolucję form i przekształcania świadomości zastąpiła polityczna katastrofa, obracająca w perzynę i nadzieje rzeczywistości, i literatury. Wówczas zamiast prozy bez fikcji pojawiła się literatura Krakowskiego Przedmieścia i Nowego Świata: owe pozbawione wstydu dzienniki pisarzy, gdzie jedynymi rzeczywistymi ranami, jakie pokazuje się struchlałemu światu, są odciski po długopisie. Nawet Kapuściński zaczął pisać wiersze, a Hanna Krall popadła w maryjność. Jeszcze inni uznali, że najlepszym wyjściem z sytuacji będzie odwołanie się (któryż to już raz?) do konwencji realistycznej, tyle samo znaczącej w obrębie prozy, co w poezji tradycja romantycznego tyrtizmu. Dlatego

owe lata stały się triumfem dokumentu, choć nie był to dokument opracowany artystycznie — znaczenie miała jego surowość, brak wszystkiego, co „sztuczne”. Dokument miał zastąpić i prozę i wymykającą się łatwym schematom poznawczym rzeczywistość. Nawet dziś, w czasie wydawałoby się, odzyskiwanego poczucia rzeczywistości, dalej produkuje się przede wszystkim dokumenty...

Uprawomocnienie fabuły na innych niż realistyczna zasadach toczyło się natomiast przetartymi już w latach siedemdziesiątych koleinami: a to przez wyobraźnię (Drzeżdżon), a to przez egzaltację podmiotowego punktu widzenia (Sakowicz), wreszcie przez świadome podkreślanie fikcyjności fabuły, rozwiązanie postmodernistyczne (znaczna część tak zwanej „młodej prozy”, ale również na przykład Konwicki w *Bohini*). Choć akurat w tym nurcie można znaleźć rzeczywiste osiągnięcia, by wymienić przykładowo *Kamień na kamieniu* Myśliwskiego, książki Siejaka, *Bazę Czycza*, czy *Oszustwo* Bukowskiego.

Wiarygodność języka, wreszcie coraz bardziej zaczęła ewoluować w stronę modernistycznej autotematyczności, zapominając jak gdyby o biegunie, obecnym w drugiej połowie lat siedemdziesiątych w pisaniu Andermana czy Schuberta: o całych złożach społecznego mówienia, których wydobyć jest zadaniem literatury. Choć i tu zdarzały się znakomite wyjątki: *Po bólu* Krystyny Sakowicz („Twórczość” 3/89) czy dopiero teraz wydane *Fruitti di mare* Czesława Dziekanowskiego. Za taką też przenikliwą literacką diagnozę społecznego buntu, dotyczącą najmłodszego pokolenia, które wegetuje na obrzeżach świadomości i w trzecim alternatywnym obiegu, skłonny jestem uważać *Proces drugi* Pawła Przywary.

A prócz tego powstało, jak zwykle, kilka dobrych książek.

5.

Nie miejsce tu, by wyciągać teraz z worka Łuczeńczyka, Bitnera, Musiała, Rudnickiego i paru innych, aby udowodnić, że coś jednak w czarnej dziurze się narodziło. Byłoby to bowiem podporządkowanie się prawom, żywcom przeniesionym z Akademii Lagadyjskiej opisanej przez Swifta:

„Drugi projekt zakładał odrzucenie wszystkich w ogóle słów; co zalecano jako wielce korzystne z punktu widzenia zdrowia i zwięzłości. Gdyż jest rzeczą jasną, że każde wypowiedziane przez nas słowo nadgryza w pewnym stopniu nasze płuca i powoduje ich ubytek, co w następstwie przyczynia się do skrócenia nam życia. Przedstawiono wówczas środek zaradczy w postaci przedmiotów. Słowa są jedynie ich nazwami; wygodniej więc byłoby dla wszystkich, gdyby nosili przy sobie przedmioty konieczne dla wyrażania sprawy, o której chcieliby rozmawiać. (...) Wielu z najuczestniejszych i najmądrzejszych stosuje nowy sposób wyrażania się przez przedmioty, co sprawia kłopot jedynie wówczas, gdy człowiek ma do załatwienia wielkie, zróżnicowane sprawy i musi dźwigać na grzbiecie wielki tóbel z przedmiotami, a nie może sobie pozwolić na jednego lub dwu krzepkich służących. Często widywałem dwu takich mędrców uginających się pod uciskiem owych brzemion, jak u nas wędrowni kramarze. Gdy napotkali się w ulicy, kładli na ziemię swe toboły, otwierali je i rozmawiali przez godzinę, by później spakować narzędzia i pomógłszy sobie nawzajem w dźwignięciu brzemienia, rozejść się”.

Jak na jarmarku, wśród zgłębku słów, jedni wyciągają z toboła *Początek* Szczypiorskiego (i Nurowską), drudzy *Weisera Dawidka* Huellego jako najważniejszą polską powieść. Inni chcą podbić stawkę *Jaśmiornicą* Sakowicz i *Fistaszkami* Bieleckiego. Brzemienno to, choć nie w skutki, rozmowa, więc może by tak zacząć rozmawiać nie przy pomocy przedmiotów jak na rynku w Lagado, ale — choć będą to rozmowy trywialne — za pomocą wyrazów? Bo w wyrazach skrywa się mądrość. Słowo „trivialis” służące później określaniu ulicznej prostytutki, etymologicznie znaczy: znajdujący się na rozstaju trzech dróg.

JEDYNY
TYGODNIK
TEATRALNY
W POLSCE



Goniec
Teatralny
PRZYBYWA CO TYDZIEŃ

TYGODNIK 5
LITERACKI 5

„Wezwanie”

dokończenie ze s. 1

Nierzeczywistość Kazimierza Brandysa została złożona i triumfalnie poszła w świat, poruszając samym swoim istnieniem, ale dręcząc okrutnie oczy czytelników ledwie widocznym drukiem. Ten trud jednak zdawał się wtedy dodawać znaczenia pierwszej tak grubej i poważnej książce, która przetrwała gwałtownie sieci cenzury. Przez tę rosnącą dziurę popłynęły potem liczne tytuły książek i pism.

Nie zamierzam opowiadać historii drugiego obiegu, chociaż temat ten czeka niecierpliwie na pióro, które udźwignie wagę tego zjawiska, opisz niezliczone anegdoty i odda wszystkie odcienie dramatu. Ja pozwolę sobie tylko rzucić kilka niezobowiązujących uwag i garść scen, które zapamiętała moja raczej słaba pamięć.

Szczelność cenzury tłumaczy się, jaką miało niezależne słowo, szczególnie dla młodego pokolenia. Była to siła odkrywania nowych światów. Zaś paniczny lęk władzy przed niekontrolowanym słowem jest zrozumiały tylko dla tych, którzy doświadczyli, ile czyni hałasu w absolutnej ciszy jedna spadająca kropla.

W latach 1974-78 pracowałem w redakcji „Tygodnika Kulturalnego”. Mogłem więc na co dzień dotykać upiornego nonsensu cenzury. — Oni już cenzurują nawet przemówienia i sekretarza Gierka — szeptały korektorki...

Redaktor naczelny tygodnika — Stanisław Adamczyk — niezwykle pieczołowicie dbał, by pismo było martwe. Żywe pismo (żywe wbrew cenzurze, co było niezwykle trudne, ale chyba możliwe) stanowiłoby zagrożenie, gdyż musiałoby zwrócić uwagę centrum.

On wiedział, wszyscy wiedzieli, że to jest chore, ale Redaktor uważał, że ta choroba jest koniecznością. I chyba w gruncie rzeczy myślał, że poświęca się, biorąc na siebie taki ciężar nonsensu. „Nawet nie wiecie, jacy ONI są okropni, jak tam strasznie” — szeptał czasami będąc z kimś sam na sam. Albo puszczał znaczące oko — „rozumiecie”. Ja nie chciałem rozumieć. Przemykałem się wąskim korytarzem, jaki pozostał uczciwym dziennikarzom, by w końcu związać się na dobre z drugim obiegiem. Ale po kilku donosach z prowincji, gdzie korzystając z delegacji wozłem książki podziemne, zostałem z „Tygodnika” wydalony. Tak organizm wydała obcy i ciężkostrawny przedmiot. Wszyscy, jak się zdaje, odczuli ulgę — ja też.

Czegoś jednak nauczyłem się w tym piśmie i w tak zwanym terenie, gdzie czasami jeździłem. Nauczyłem się, że cenzura jest nie tylko nonsensem i groteską, ale i zbrodnią. To nie tylko były listy nazwisk ludzi skazanych na milczenie, to zakaz pisania o narkomanii w Polsce, o alkoholizmie, o dzieciach chorych na ołowicę na Śląsku. Przepęstem było nie tylko brać w tym udział, przestępstwem było milczeć. Wyniosłem też z tej pracy przekonanie, że system jest niereformowalny, a jedynym sprawnym mechanizmem w PRL jest mechanizm selekcji negatywnej

w doborze kadr. Wyciągnąłem też z tej sytuacji logiczny wniosek, że największym wrogiem realnego socjalizmu jest zdrowy rozsądek. I tego właśnie postanowiłem się trzymać, nie mając jednak bynajmniej pewności, że właśnie zdrowy rozsądek musi koniecznie być górą w tej części świata.

Pierwsze dotknięcie nowego, to były klawisze maszyny do pisania, w które uderzałem przepisując w roku 1976 komunikaty KORu dotyczące radomskich procesów.

Początkowo pisma i książki były odbijane na powielaczach, zanim weszły w życie bardziej wyrafinowane techniki. A przyrost tytułów łączył się z nowymi pozawarszawskimi ośrodkami: był to Kraków, potem Wrocław, Lublin, Poznań... Opozycja zdobyła przyczółki nawet na wsi. Była to pelzająca kontrrewolucja w dziedzinie wolnego słowa, którą Gicrek, jak się wydaje, zlekceważył. Miał ambicje, by Polska rosła w siłę a ludzie żyli dostatniej. On, którego sekretarzowanie narodziło się z krwi, bardzo starał się o dobry image swej władzy za granicą i o kredyty. W Polsce miało nie być więźniów politycznych. Te postępowe ambicje sekretarza okazały się bardzo korzystne dla opozycji.

Najtrudniej było instalować tajną drukarnię, gdyż taki lokal musiał spełniać liczne warunki. Pamiętam niewielki domek w Konstancinie w bezcelnej bliskości milicyjnej komendy. Właścicielami byli prości ludzie. Schody prowadziły do obszernej piwnicy. A tam, miałem wrażenie, że odbywa się niezwykle misterium. Zdumiewająco hałaśliwa maszyna wyrzucała z siebie brudną kartkę, charcząc i zacinając się. Doglądał jej mały, półnagi, cały w tatuażach Romek Wojciechowski (siedział kiedyś lat piętnaście i napisał dwa, trzy świetne opowiadania znamionujące duży talent — oczywiście nie wykorzystany). Pomagał mu X, też wytatuowany. Podobno znalazł go kiedyś Chojcecki na parkowej ławce. X nie posiadał w ogóle dowodu osobistego, ale miał swój rozum. Wąsaty Wiesiek Kęcik, potem główny specjalista od chłopów, odbijał walkiem na stole kolejne strony. To samo robiła obok mała dziewczynka, córka gospodarza, a warkoczek podskakiwał jej wesoło na plecach. Czarny kot, nie wiadomo, czarny z natury czy od farby, przechadzał się po grubej warstwie papierów pokrywających podłogę. Pamiętam, że na zewnątrz świeciły przenikliwe gwiazdy, i miałem poczucie, że prawo moralne jest we mnie. Wracałem wioząc samochodem zadrukowane kartki, a towarzyszył mi Konrad Bieliński, który nazajutrz rano miał prowadzić zajęcia z matematyki na uniwersytecie.

Ówczesna opozycja skupiała wokół swego wirującego jądra niezwykłych ludzi, często dziwaków, ale zawsze z barwnym charakterem. Wielu z nich, bardzo wielu, obecnie jest za granicą, i gdybym dzisiaj chciał rozwieźć książki na ówczesne punkty kolportażu, musiałbym przebyć trasę Warszawa, Sydney, Nowy Jork, Paryż... Ale wtedy, właściwie wszyscy zdali swój egzamin, w ten czy inny sposób. Zło, czy może raczej pierwsze ziarna goryczy ujawniły się potem, po czasie najtrudniejszym. I kto wie, czy właśnie wolność nie jest dla nas prawdziwym wiekiem puszki Pandory.

Niezależne słowo miało swoje ruchome święto w czasie słynnych szesnastu miesięcy. Powstało wtedy tysiące niezależnych od cenzury pism, swoje gazety miały wszystkie większe ośrodki, zakłady pracy, środowiska. Mówiono szybko i gorąco, jakby podświadomie czując, że nie ma wiele czasu, i należy mówić za przeszłość i przyszłość.

Stan wojenny uderzył najpierw w słowo. Internowano tych, którzy potrafili najlepiej mówić, pisać, drukować. Zakneb-

lowano nie tylko prasę, radio i telewizję, ale również telefony. Każdy miał być sam w celi mieszkania naprzeciw słowa ubranego w wojskowy mundur.

I jakże jest znamienne, że oddziały milicji z taką zaciekleścią szturmowały siedziby regionów, niszcząc sprzęt drukarski. Ale ta blokada, niespodziewanie, doprowadziła do niezwykle rozbudzenia życia społecznego na poziomie lokalnym, a więc domu, kwartału. Wydaje się, że stan wojenny stał się wybuchem bomby integracyjnej, której promieniowanie będzie odczuwalne w naszych nowych bezdusznych dzielnicach jeszcze długo.

Czas pierwszych tygodni, kiedy niemal milczała sparaliżowana niezależna działalność wydawnicza, to okres powrotu do najpierwotniejszych form powielania słowa. Teksty przepisywano ręcznie lub na maszynach, które nie zostały zarekwirowane dekretem stanu wojennego, w przeciwieństwie do dubletów. Można więc zauważyć, że wojskowi — co rozumiało — stanowczo przecenili broń myśliwską, nie dostrzegając siły rażenia maszyn do pisania.

Po pierwszym szoku, po zaspokojeniu głodu informacji na temat rozmiarów klęski i heroizmu naszego oporu, uwyraźniło się oczekiwanie społeczne na literaturę, która będzie świadectwem czasu. Było to trudne zadanie, gdyż większość ówczesnych zdarzeń miała miejsce w sferze zbiorowych emocji, a jest to sytuacja, która grozi sztuce pułapką patriotycznego kiczu. I wydaje się, iż rzeczywistość tak bardzo literacka, nie jest łatwa do przetrwania przez literaturę.

Z tematem stanu wojennego najpierw próbowała zmierzyć się poezja. Niewiele tych wierszy przeżyło próbę czasu, ale wówczas zaspokajały one na gorąco potrzeby społeczne i, przepisywane ręcznie lub powielane jeszcze prymitywnymi metodami, krążyły po kraju niemal średniowiecznymi szlakami. Wkrótce ożyły podziemne drukarnie i wtedy proza mogła śmiało podjąć wyzwanie czasu. Czy jej się to udało? Literaturę zdominowało świadectwo różnego typu: opisy pacyfikacji, potem relacje z więzień i obozów dla internowanych. Czas dosyć surowo obszedł się z tymi tekstami. Okrucieństwo okupanta nie było aż tak wielkie, jak się nam zdawało, a po latach na powierzchni niektórych wspomnień wypłynęła nie krew, ale woda. Należy jednak zrozumieć nas, którzy widzieliśmy ten dramat w innych, wyolbrzymionych proporcjach. „Solidarność” była cudem, a zabity cud to trudne do zniesienia.

Pierwsze tygodnie i miesiące stanu wojennego był to czas, kiedy wszyscy ze wszystkimi nieustannie się spotykali, dzieląc się swoją niezgodą. Płatały się nitki różnych konspiracji i doprawdy trudno było przejść parę kroków, nie potykając się o jakiś konspiracyjny węzeł. Jako że za błędy nie płacono słowem, wiele rzeczy przybierało postać groteski. Nam nie było jednak wtedy do śmiechu i brak humoru, humoru mimo wszystko, wydaje mi się poważną ułomnością tamtego okresu.

Pomysł rzucił Leszek Szaruga: — „Trzeba założyć pismo literackie”. Takie pismo zdawało się w tych pierwszych tygodniach dramatu rzeczą najmniej potrzebną. Zbigniew Herbert, którego spotkałem wtedy przypadkiem w księgarni „Uniwersus” (jak się zdaje, ludzie wrażliwi chronili się wówczas przed obłędem wśród książek), zapytał mnie jakby mimochodem, czy przypadkiem nie zauważyłem, że nastał czas, gdy każdy akt artystyczny nie związany z sytuacją jest czymś nieestetycznym. Zauważyłem to. Leszek był jednak innego zdania, a znając jego upór i pracowitość wiedziałem, że pismo założę. Wiedziałem też, że nie ma doświadczenia dziennikarskiego, które ja posiadałem.

Spotkaliśmy się u Iwony Smolki, krytyka literackiego. Wszyscy mniej lub bardziej rozbitkowie stanu wojennego, ja chyba jednak najbardziej rozbity, bo na stałe poza domem. Jarek Markiewicz wyszedł wtedy dopiero co z mistycznego okresu Słowackiego, nikogo więc nie zdziwiło, gdy nagle zapytał — kto to był Solżenicyn? (Gdy mieliśmy potem wielkie problemy z wydrukowaniem podwójnego numeru „Wezwania” 2/3 Jarek po prostu założył wydawnictwo „Przedświt” i pismo wydrukował. Tak drugi obieg zyskał wydawnictwo, a my straciliśmy redaktora). Tomek Burski był mi znany z czasów, gdy robiliśmy wspólnie w regionie Mazowsze „IKS” biuletyn informacyjny „Solidarności”.

No i był oczywiście Leszek Szaruga, krytyk, poeta, urodzony i niestrudzony kronikarz.

Okazało się wkrótce, że materiałów do druku jest wiele, problem był tylko z tytułem. Biedziłem się nad tym długo, aż w końcu (choć szukanym, ale jeszcze nie wzywany na milicję, za to nieustannie wzywany do różnych walk i społecznych obowiązków) urodziłem ten tytuł, który w tamtych czasach wydawał się być na miejscu.

„Wezwanie” zostało wydrukowane bodajże na początku maja 1982 roku przez jedną z wylaniających się z popiołów firm, dla której był to, jak się zdaje, debiut. Poradzili sobie całkiem nieźle, po czym poszli siedzieć. Taki był czas, że nieustannie ktoś zniknął, czasami znowu się pojawiał i znowu wpadał. Był to czas ruchomych piasków, poplątanych nici konspiracji, policyjnych akcji, pięknych gestów, manifestacji ulicznych, płonących w oknach świec, kwiatowych krzyży, o które boje toczyły z ZOMO warszawskie baby, nasłuchiwanie radiowych audycji podziemnego radia, okropny a zarazem piękny czas.

Z tym pierwszym numerem „Wezwania” jest związana cała seria groteskowych przygód, nie czas by teraz o nich opowiadać. Nie inaczej było z kolejnymi edycjami pisma, które z reguły rodziły się w szaleństwie lub w męce. W każdym razie, zawsze przy ukazaniu się kolejnego numeru miałem poczucie, że oto stał się cud, niewielki, ale jednak cud. (Z przyjacielskiego obowiązku muszę tylko odnotować stratę jaką poniósł Adaś Sandauer — tak, tak, syn Artura — w którego mieszkaniu mieliśmy kiedyś zebranie, a ja, wówczas jakże nieprzezorny, pociągnąłem za sobą ogon kilku śledzących mnie pojazdów. Włamało się tam wkrótce pod nieobecność gospodarza i, by upozorować cel kryminalny, ukradziono Adamowi telewizor, który tak lubił).

Jan Błoński

Przeciw liczmanom

dokończenie ze s. 1

Spór ten bywa racjonalizowany bardzo rozmaicie. Przychodzi od razu na myśl dziedziczne niejako obciążenie polskiej literatury: czyż nie czuła się ona — także w ostatnich dekadach — strażniczką i gwarantem narodowej tożsamości? Powojenna emigracja, chcąc nie chcąc, nawiązywała do romantycznej. Poezja — a nawet proza — stanu wojennego spontanicznie uderzała w tonny martyrologiczne. Jaskrawe kłamstwa oficjalnej propagandy czy historiografii niejako obliżowały literaturę do zastąpienia czy nawet odkupienia urzędowej nieprawdy. Tym samym jednak — powiada wielu — pisarze poświęcali estetycznym etycznemu, uniwersalnemu — prowincjonalnemu. Co przystoi polskiej literaturze? „Szlachetność, niestety...” Ta właśnie zgrzebna szlachetność skazuje — w domyśle — polską literaturę na zaściankowalność. Zamykają w ciasnych opłotkach narodowego losu, odcinając od — prawdziwej czy rzekomej — bujności i rozmaitości światowego życia.

Stąd blisko już do narzekania na moralizm, tendencyjność, ba!... obłudę nawet. Choć mocno zużyta w stuletnich już blisko bojach awangardy, polityczna czy obyczajowa prowokacja może jeszcze zwrócić uwagę czytelników i zapewnić meteoryczne powodzenie. Całkiem tak samo jak — po przeciwej stronie — zwycięstwo dobra zwycięża nieraz poważnie nakłady. Od tych nieco przytęplonych zabiegów ciekawsze zdaje się przekonanie, że to co uniwersalne lokuje się raczej po stronie jednostki, podczas gdy to co kolektywne okazuje się w istocie lokalne.... Ludzi różnicują społeczności, w których się wychowali, religijne, narodowe, państwowe, klasowe czy sąsiedzkie; w tym jednak, co najgłębsze, są sobie równi i sobie podobni. Tak zdaje się rozumować Zagajewski, niespodziewany rousseau'ista: odwraca też przy

okazji tradycyjne przekonanie polskich emigracji, poczynając od romantycznej (co poczytałbym mu zresztą za zasługę intelektualną, nawet jeśli nie całkiem się z nim zgadzam). W wieku XIX bowiem literatom „krajowym” przypadała troska o prywatne niejako losy Polaków; emigracyjni zaś pisarze mniemali, że szlifując paryskie bruki, towarzysząc światowym przemianom, wykupują polskiej literaturze bilet wstępu do powszechności.

Jaka z tych różnic, odwróceń, przeciwstawień nauka? Chyba tylko ta, że musimy je przekroczyć, aby zacząć lepiej, skuteczniej rozprawić o literaturze i być może także, literaturę uprawiać. W istocie żaden z tych schematów myślowych nie jest prawdziwy, w tym sensie, że niezbyt literacką twórczość wspomaga. Owszem, to prawda, że szlachetność rozczula nieraz i poraża, ale cynizm nie jest — niestety czy na szczęście — żadną receptą na dobrą literaturę. Może nawet starzeje się szybciej niż dobroć. Nie jest też wcale tak, aby wierność krajowym cierpieniom skazywała nieuchronnie na prowincjonalność. Cierpienia te nie były ani gorsze ani lepsze od innych i ważne jest to tylko, co z nich zrobił pisarz. Co więcej, z punktu widzenia ludzkości — jeśli wolno się tak patetycznie wyrazić — właśnie centralna i wschodnia Europa była — jeszcze jest — kotłem, w którym warzyły się i waga sprawy kto wie, czy nie najbardziej dla naszej cywilizacji istotne. Więc może właśnie my znaleźliśmy się najbliższe uniwersalnemu, nie umiając go dostrzec? Albo jeszcze: czy nie jest tak, że kiedy wyparuje kolektywna różnica, ludzie strasznie się upodabniają, przynajmniej w literaturze? I pisarz nie w uniwersalne trafia, ale w banalne, młóćąc na przykład po raz tysięczny stereotypowe problemy nieudanego dojrzewania? Każdy, kto zajrzał do setek i tysięcy autobiograficznych powieści, zalegających księgarnie po obu stronach Atlantyku, dobrze wie, o czym myślę. I właśnie to centrum, do jakiego chcielibyśmy się dostać, niczego innego nie łącznie, jak odmienności, różnicy, egzotyki.

Podobnie zakwestionować można i odwrócić wszystkie chyba twierdzenia, które tufaj — szybko i powierzchownie — przypominałem. Przypomniałem nie ku nauce, bo w literaturze w ten sposób niczego nie można się nauczyć, ale ku przestrodze. Spór, od którego zacząłem, nie pozwolił nam ukierunkować rozwoju literatury, niezależnie od wyboru, jakiego dokonamy.

I to z powodu „Wezwania”, lub może dzięki niemu, gdy schwytano mnie po roku, zesłany zostałem do Białoleki, która stanowiła wielką atrakcję, gdyż była zdumiewającym skrzyżowaniem sanatorium i więzienia. Znalaziono bowiem w tym samochodzie zeszyt, o którym na śmierć zapomniałem, gdzie zupełnie niepotrzebnie na spotkaniu redakcji uczyniłem kilka notatek, wśród których królowały trzy gołe słowa: „Maszynistki. Lokale. Pseudonimy”. Byłem bowiem wtedy opętany ideą stworzenia prawdziwej, a nie amatorskiej konspiracji, i jako prawdziwy amator w tej dziedzinie padłem oczywiście ofiarą swych zamiarów.

W kilka lat potem, gdy sztaby specjalistów ustaliły, że owa niezwykle groźna organizacja potrzebująca „lokali, maszynistek, pseudonimów”, może być pismem o nazwie „Wezwanie”, wzywano mnie na Rakowiecką, gdzie byłem sadzany przy biurku i zostawiany sam na sam z egzemplarzami pisma, by sobie z nimi pogadać i się załamać, i wyznać swą zbrodnicę tworzenia tego, co w tym miejscu określano jako część frontu walki z władzą ludową. By wzmocnić presję, ukradziono mi kiedyś w majestacie prawa maszynę do pisania. Ale nawet odebranie mi paszportu na kilka dni przed odlotem w roku 1984 do USA, nie załamało mojej redaktorskiej pasji, chociaż począłem mieć krwiożercze instynkty. Na szczęście nie widać chyba tego w „Wezwaniu”.

Nie mnie omawiać kolejne numery pisma i cały jego dorobek. Jedno jest pewne, nie było tam wiele literatury, a jeśli była, to raczej polityczna. Próbowaliśmy dokumentem nadawać literacki charakter, zbierać, penetrować, dawać świadectwo w miarę sił, których na początku było nadspodziewanie wiele, a które potem topniały.

Rok 1983 to postępująca pacyfikacja kraju, a jednocześnie rozbudowa niezależnego obiegu wydawniczego. Podziemne struktury „Solidarności” nadal istnieją w zakładach pracy, ale zaczyna im brakować celu działania, a więc tlen. W tej sytuacji rośnie gwałtownie rola niezależnego słowa, bo właśnie ono ma ten tlen dostarczać. Istnieje wtedy już około tysiąca pism wszelkiego typu, rozsianych po całym kraju. Trudno nie zgodzić się ze Sławkiem Bieleckim, który zauważył, że słowo zaczęło zastępować wtedy czyn. Jak pokazał jednak czas, słowo może być również czynem. Bo w końcu to ono odniosło ostateczne, chociaż być może gorzkie zwycięstwo.

„Wezwanie”, wraz z całym drugim obiegiem, przeżyło swój okres prosperity, jak również, w okolicy roku 1984, dotknęło nas zmęczenie i zniechęcenie. Wiele podziemnych firm podlegało procesom komercjalizacji i demoralizacji. I tak oto jedno z wydawnictw wydrukowało *Pamiętniki* Jasienicy — które miały być kolejnym zeszytem pisma — jako własną książkę. My zresztą, jak się okazało, też byliśmy nie w porządku wobec spadkobierców pisarza.

Na podziemnych firmach mścił się brak kontroli finansowej, o co trudno w konspiracyjnych warunkach. Dawały o sobie znać lata pracy pod ciśnieniem oraz słabość programowa opozycji. Młodzież, która zasilala ruch, zdawała się posiadać wiele cech ukształtowanych przez system, z którym przyszło jej

Krystyna Miłobędzka

* * *

jest ciszy w pokoju
jest ścian każdej inne
jest słońca na firanie
szarzące jest kurzu
przez cienkie jest szyby
jest wróbla za oknem
jest dziecka po trawie, goniące motyla
jest motyla w siatce
płynące jest chmury
i nagle jestem
w tym ogromnym
kolistym kulistym nieczyimś
rozdziawionym zajadłym parzącym
trawomocnym śmigłoskrzydłym biegłomogim
cieknącym zaciekłym
dotkliwym
jest

* * *

od czego
od kogo, zanim zacznę
który pierwszy, który mój, który naj
i którą ci siebie na zawsze zostawię
dlaczego tę w śmiechu z warkoczami zdyszana
którą zostawię ci siebie z której głębokiej szuflady
na której fotografii odbitej nieostro
tę o ciebie starszą, tę o ciebie cichą
tę w ostatniej chwili dobiegłą
twarz wśród twarzy, w jasnej smudze poruszona
z wysoko uniesionymi brwiami
to zdziwienie wszędzie nie na miejscu
na brzegu morza, na skraju lasu,
na brzeżku łóżka
na końcu języka

walczyć. W końcu to jego dzieci, cóż z tego, że zbuntowane. Balagan, nierzetelność stały się więc również udziałem życia podziemnego na równi z naziemnym. I w końcu, kto wie czy nie najważniejsze — słowo zaczęło tracić swoją wagę.

To wszystko doprowadziło do rozpadu wewnętrznej solidarności drugiego obiegu. Ten element rozpadu więzi i przeniesienia ambicji ze wspólnej sprawy na indywidualną, jest typowy dla grup, które odniosły zwycięstwo, jak i dla tych, które przegrały. I zaryzykowałbym twierdzenie, że oba te zdarzenia zasły w niezależnym ruchu jednocześnie.

Nie jestem w stanie wyliczyć wszystkich osób, które przewinęły się mniej lub bardziej szczęśliwie przez redakcję; faktem jest, że pierwsze numery przygotowywali ci, których wymieniałem na początku. Odpadali kolejno, ale po to, by zajmować się czymś innym, z pewnością nie mniej pożytecznym.

Pismo dłużej lub przelotnie redagowali między innymi Michał Mońko, Lidia Rola, Włodzimierz Bolecki, Ryszard Holzer, Andrzej Jagodziński, Zyta Orszyn, Andrzej Kaczyński, Janusz Jankowiak. Pozwolę sobie tu podkreślić szczególną rolę Andrzeja Jagodzińskiego, który tak bogato zaopatrywał pismo w literaturę czeską. Chciałbym też podziękować Andrzejowi

Jeleńskiemu, który kilka ostatnich numerów wzbogacił o niezwykle staranną bibliografię książek drugiego obiegu.

W okresie ostatnich lat redakcję tworzyli: Irena Lewandowska, Piotr Matywiecki (dorywczo Waldemar Baraniewski) oraz piszący te słowa.

Zwycięstwo drugiego obiegu to zarazem jego koniec. Nie jest łatwo zamykać rozdział tak pełen zdarzeń i emocji, bo wszystko nie chce się zmieścić w kufrze z napisem — przeszłość. Zaś wolność, która nadeszła, nie tylko przybyła trochę ukradkiem, ale ma w środku wiele drzazg i miejsc twardych. Ucieleśnienie tak wielkich marzeń jest zawsze niebezpieczne — wielkie marzenia muszą nieść wielkie rozczarowania. Dzisiaj stoimy zaledwie na progu nowego, oby nie był on zbyt wysoki.

Wszystkim współpracownikom „Wezwania”, autorom i wszystkim jego czytelnikom, często tak cierpliwie czekającym na spóźniające się numery, pragnę serdecznie podziękować. A szczególnie dziękuję drukarzom i kolporterom, którzy nie raz padali ofiarą swojej pracy. Mam nadzieję, że w nowych czasach „Tygodnik Literacki” — nowe już pismo, o zupełnie już innej formule i odmiennym charakterze, zdobędzie sobie zaufanie dawnych czytelników „Wezwania”.

Tomasz Jastrun
(Witold Charlamp)

Janusz Maciejewski

Tygodnik Literacki

Przez wiele dziesięcioleci życie literackie w Polsce kształtowały tygodniki. Na ich łamach ukazywały się budzące powszechne zainteresowanie opowiadania i wiersze, toczyły się dyskusje, informowano o nowościach wydawniczych, formułowano programy. To w krakowskim „Życiu” wykluwało się oblicze „Młodej Polski”, „Wiadomości Literackie” kształtowały mody i style odbioru kultury w dwudziestolecie, w tygodnikach objawiała się „odwilż” i dokonał przełom kulturowy 1956 roku.

Ten stan rzeczy był poniekąd specyfiką polską, różniącą nasz kraj od innych. Ostatnie stulecie ukształtowało publiczność literacką, która oczekiwała szybkiej informacji kulturalnej, przywykła do natychmiastowej reakcji na wydarzenia artystyczne, bądź też wypowiedzianą przez twórcę. Takie możliwości dawał tygodnik (bądź dwutygodnik). On też wyrybiał specjalne nawyki obecności w kulturze.

Oczywiście w Polsce wychodziły — i to dobre — miesięczniki czy kwartałniki literackie. Ale stanowiły swoiste uzupełnienie tygodników. Były bardziej elitarne. Nie one też narzucały rytm życia artystycznego. O jego barwie i poziomie decydowały „Wiadomości Literackie” a nie na przykład „Marchów”.

Charakterystyczne: tę specyfikę polskiego życia literackiego starała się zachować nawet emigracja (choć na obczyźnie — z powodu rozproszenia rodaków — znacznie trudniej utrzymać czasopisma o większej częstotliwości ukazywania się). Dowodem wychodzące od 1946 roku w Londynie „Wiadomości”.

Taki stan rzeczy trwał do połowy lat sześćdziesiątych. I oto w ostatnim ćwierćwieczu zaczęliśmy od tego odchodzić. Tygodniki literackie w części zostały pozamykane. Te, które utrzymały się, stopniowo podupadały i przestawały być czytane. Na arenie pozostały miesięczniki i kwartałniki.

Aby zrozumieć, co zaszło, należy zwrócić uwagę na czynniki zewnętrzne wobec kultury. Wspomniana ewolucja była jednym z efektów napięcia, jakie istniało w PRLu między władzą a społeczeństwem (kierownictwem „frontu ideologicznego” a publicznością literacką). Nie wnikając w początki systemu a za punkt wyjściowy przyjmując rok 1956, możemy stwierdzić, iż wówczas została zawarta między władzą komunistyczną a narodem swoista, niepisana umowa: społeczeństwo zgodziło się warunkowo tolerować władzę, komuniści z kolei zgodzili się respektować — oczywiście w ograniczonym zakresie — aspiracje społeczeństwa. „Umowę” tę partia od 1957 roku zaczęła łamać, choć początkowo w niewielkim zakresie, w zasadzie pozostawiając w spokoju sprawy czysto artystyczne. Z czasem jednak i te dziedziny objęto uwagą (co w efekcie rodziło narastanie protestów). Zaczęto zmieniać zespoły redakcyjne, redaktorów naczelnych. W roku 1963 zamknięto dwa popularne tygodniki: „Nową Kulturę” i „Przegląd Kulturalny” — powołując na ich miejsce nowy, całkowicie kontrolowany przez partię: „Kulturę”. Środowisko odpowiedziało bojkotem.

I tak zaczęła się zabawa, która doprowadzi-

ła do uwiadu oficjalne życie literackie. Władze coraz częściej ingerowały w prace redakcji (oczywiście nie tylko tygodników): usuwały niemiłych sobie pracowników, narzucały „naczelnych”. Reakcją bywały manifestacyjne rezygnacje dotychczasowych redaktorów i kolejny bojkot ze strony piszących i czytających. Rok 1968 dodatkowo skompromitował większość czasopism. Stopniowo zmniejszała się ilość periodyków uznawanych przez publiczność literacką za swoje. Były oczywiście w tej ewolucji wahania. I tak na początku małej „odwilży” pogrudniowej (w dużym stopniu pod wpływem konsekwentnego bojkotu warszawskiej „Kultury”) powołano tygodnik „Literatura”, który miał być otwartym i przyciągnąć tych, którzy nie chcieli pisać w skompromitowanych czasopismach. Ale i on po kilku latach i paru ingerencjach w skład zespołu przestał pełnić tę funkcję.

Przy tym, o ile bezpośrednio po 1956 roku działania komunistów wykazywały jaką taką wiedzę o zasadach polityki społecznej, o tyle w miarę selekcji negatywnej następującej w ich szeregach, jakiejkolwiek względy prakseologiczne zastępował upór tępych despotów. Nawet wśród „swoich” niemiłe widzieli umiejętności dogadywania się ze społeczeństwem (poza krótkimi okresami kryzysów). Dlatego też popularność jakiegos czasopisma budziła podejrzliwość, działała przeciw niemu, natomiast periodyk bojkotowany, był hołubiony i ochraniany. Taki był na przykład casus miesięcznika „Poezja”. Gdy po 1968 roku zaczął być przez część środowiska bojkotowany, zamiast usunąć przyczyny tego stanu pogłębiano rozszewlenie przyczyny tego stanu pogłębiano rozszewlenie między periodykiem a publicznością literacką.

Ten stan rzeczy miał szansę ulec zmianie w czasie szesnastu miesięcy pierwszej „Solidarności”. Ale legalnie działała ona krótko. Wprowadzenie stanu wojennego doprowadziło do apogeum rozdziału władzy (i popierających ją nielicznych grup ludzi uległych) oraz społeczeństwa.

Już za późnego Gierka rezultatem wzrostu kontroli nad kulturą było pojawienie się drugiego obiegu informacji i literatury. Ta ostatnia — od momentu ukazania się pierwszego numeru „Zapisu” — przestała być całkowicie zależna od komunistów. Po 13 grudnia — jak wiadomo — drugi obieg stał się potężną konkurencją dla kurczącego się państwowego sektora kultury. Także wydawnictwa i czasopisma emigracyjne zaczęły wchodzić na rynek krajowy i obsługiwać krajowych twórców.

Tak się jednak złożyło, że zarówno życie na emigracji jak i sytuacja drugiego obiegu nie sprzyjały czasopismom o większej częstotliwości. W kraju, w podziemiu nie ukazywał się żaden dziennik, z trudem utrzymywały regularność informacyjne tygodniki. I na obczyźnie w 1981 roku przestały wychodzić „Wiadomości”. Stał się krajem miesięczników literackich — i to totalnie, gdyż i te wydawane raczej „przeciw” niż „dla” społeczeństwa, finansowane przez komunistów tygodniki musiały paść w momencie cofnięcia dotacji.

Taki stan rzeczy zastaliśmy po zakończeniu zwycięstwem wojny cywilnej społeczeństwa polskiego z systemem komunistycznym. Wychodzi wprawdzie znakomite „Tygodnik Powszechny”, ale przecież tylko w niewielkiej części interesuje się on literaturą. Mamy za to doskonałe kwartałniki i miesięczniki: „Zeszyty Literackie”, „Puls”, „Arkę”, „brulion”, „Czas Kultury”, „Kulturę Niezależną”, „Na-Głos”, „Odrę” i wiele innych, z sukcesem spełniających rolę periodyku poświęconego głównie sprawom literatury i sztuki. Ale przecież w tego rodzaju czasopismach nie można szybko reagować na nowości artystyczne, prowadzić żywych polemik.

Dlatego wydawało nam się słuszne — skoro w innych dziedzinach wracamy dzisiaj do dawnego — i w tej nawiązać do tradycji tygodnika poświęconego sprawom kultury.

prezentacje

ŚWIETLICKI

Dla Jana Polkowskiego

Trzeba zatrzasnąć drzwiczki z tektury i otworzyć okno,
otworzyć okno i przewietrzyć pokój.
Zawsze się udawało, ale teraz się nie
udaje. Jedyny przypadek,
kiedy po wierszach
pozostaje smród.

Poezja niewolników żywi się ideą,
idee to wodniste substytuty krwi.
Bohaterowie siedzieli w więzieniach,
a robotnik jest brzydki, ale wzruszająco
użyteczny — w poezji niewolników.

W poezji niewolników drzewa mają krzyże
wewnątrz — pod korą — z kolczastego drutu.
Jakże łatwo niewolnik przebywa upiornie
długą i prawie niemożliwą drogę
od litery do Boga, to trwa krótko, niby
splunięcie — w poezji niewolników.

Zamiast powiedzieć: ząb mnie boli, jestem
głodny, samotny, my dwoje, nas czworo,
nasza ulica — mówią cicho: Wanda
Wasilewska, Cyprian Kamil Norwid,
Józef Piłsudski, Ukraina, Litwa,
Tomasz Mann, Biblia, i koniecznie coś
w jidysz.

Gdyby w tym mieście nadal mieszkał smok
wysławiali by smoka — albo kryjąc się
w swoich kryjówkach pisaliby wiersze
— małe piąstki grożące smokowi
(nawet miłosne wiersze pisane by były
smoczymi literami...)
Patrzę w oko smoka

i wruszam ramionami. Jest czerwiec. Wyraźnie.
Tuż po południu była burza. Zmierzch zapada najpierw
na idealnie kwadratowych skwerach.

(88)

Apokryf

Małe Jezus był nieznośnym dzieckiem.
Od razu było widać, że nie całkiem jest stąd.
Stada staruszek rozprawiły o nim,
wykonując ówczesne zabobonne znaki.

To dziecko miało nienormalną pamięć,
pamiętało dokładnie cały gwiazdny porządek
i stosowało go na swój
męczący i niezrozumiały sposób.

Wpadał z patykiem w dłoni między rówieśników
organizując rewolucje
albo zamieniał złośliwe staruszki
w ptaki i mchy.

Rodzice często brali go na stronę,
i przyglądali mu się z niepokojem,
wówczas podnosił ostrzegawczo palec
i speszni wracali do swych obowiązków.

Teraz wisi na ścianach pomiędzy kwiatami
i nad tapczanami licealistek,
został wchłonięty przez te same staruszki
i mężczyźni w sukienkach używają go.

Ale to, jak się zdaje, zbyt go nie obchodzi.
On siedzi na krawędzi, stuka patykiem o patyk.
Gwiazda spada, następna
wznosi się.

(87)

Kierowca nocnej ciężarówki

Kierowca nocnej ciężarówki
na kierownicy ma litery
gorącej prośby: **BOŻE PROWADŹ STASIA!**
Cała kabina jest małą kapliczką.
Wysiadam w szczerym polu czarnych ulic
małego miasteczka i myślę kierunki,
klnę bezgłośnie. A chodnik jest ruchomą krą.

(86)



rys. JACEK GAWŁOŃSKI

MARCIN ŚWIETLICKI — ur. 24 XII 1961 r. w Lublinie. Studiował
biologię polską na Uniwersytecie Jagiellońskim. W latach
1984-1986 żołnierz LWP. Publikował w „Akcencie”, „Arce” i „Po
Prostu”.

Wróciłem — nie mam czego szukać

Psy się kochają na trawniku. Przez piętnaście minut
udawałem tenora, aż zabrakło naraz
głosu tenora w radiu i ostatni ruch
moich warg był jak rybi i wypchnąłem tylko
obłoczek ciszy... W rękę gniotę kartkę:
JEŚLI POCZUJESZ SIĘ ŚMIERTELNY — ZADZWOŃ.

(86)

Świerszcze

Świerszcze, o, zatrząsienie, zbieraliśmy je, łącząc w sztuczne pary
poruszaliśmy nimi, ruszały się, ruszały, bardzo duże, bardzo
zielone, miłość jest piękną czynnością — i robiły to, tę miłość,
o, o, zatrząsienie miłości, trawy miały tak lekko, zatrząsienie traw,
roztrząsaliśmy je, patrzyliśmy, podpalić, podpalić, płonąła
ziemia, dzieciństwo było potem, jest teraz w tych wszystkich
przypomnieniach, przedtem jedynie było zatrząsienie, świerszcze,
to nie jest, nie jest, nie jest krótka pamięć — połączyli nas,
rozłali nas po ziemi, trzęsiemy się, trzęsiemy, to świerszcze się mszcą.

(82)

Mam kilka pytań do Marcina Świetlickiego. Powiem od razu, że nie są to pytania przyjemne. Dodam, że są to pytania, które stawiam również samemu sobie. Marcin Świetlicki jest znacznie ode mnie młodszy, więc mam nadzieję, że ma też sprawniejszą od mojej głowę i że wobec tego uda mu się znaleźć jakieś odpowiedzi na te moje pytania. Może zresztą są to pytania, na które nie da się odpowiedzieć. Mógłbym — ponieważ byłem w jury, które przyznało Świetlickiemu nagrodę „brulionu” i ponieważ kilka wierszy Świetlickiego bardzo mi się spodobało — napisać coś w rodzaju laurki. Ale sprawa jest dość poważna i szkoda mi czasu na pisanie konwencjonalnych pochwał: ograniczywszy się doń, zlekceważyłbym coś, co wydaje mi się najistotniejszym problemem poezji Świetlickiego (i nie tylko jego). Wprzód kilka uwag o wierszach, które przeczytałem. Jest w nich — co mnie wcale nie dziwi, zważywszy na czas, w którym powstały — bardzo dużo historii. Wiersze te — co od razu widać i co wydaje się w nich pozornie najważniejsze — pisał ktoś, kto w latach osiemdziesiątych mieszkał w Krakowie, kto chodził po tych, a nie innych ulicach, widział takie właśnie, a nie inne obrazy tutejszego, peerelowskiego życia. To jest materia wierszy Świetlickiego: „Drudzy najeżdźcy zabawili dłużej”, „państwowe trawy i państwowe drzewa”, „były kapral zaprosił mnie na wódkę”, „autobus numer osiem”, „Tutejsza władza zadała nam jakieś podchwytliwe pytania”, „Budzę się w twoje urodziny w byłymym

wagonie”, „milicyjne trójce legitymują zakochanych”, „kilkudziesięciu pijaków chwycie się na Rynku”. I tak dalej, długo można by cytować. Owszem, podoba mi się taka poezja. Wszelka potomność, jak wiadomo, uwielbia konkrety (kiedyś już o tym pisałem), więc co konkretne może liczyć na sukces u potomności. A zatem mnie się to podoba, ale Świetlickiemu — co trochę dziwi — wcale się nie podoba. Buduje wiersze z tych historycznych konkretów (lub: zabudowuje wiersze tymi konkretami), ale czuje czytając go, że te konkrety nie go w istocie — lub prawie nie — nie obchodzą i że chodzi mu o coś całkiem innego. O co? Moje niejasne poczucie — że w tych wierszach o coś innego chodzi, tyle że ja nie wiem, o co — poświadcza wiersz-manifest „Dla Jana Polkowskiego”. Przy okazji, ponieważ przeczytałem ostatnio wiele wierszy młodych krakowskich poetów: Jan Polkowski jest świetnym poetą i niewątpliwie godny jest tego, byście go, młodzi krakowscy poeci, całowali w pięty; ale jeśli nie uznacie, i to szybko, że Polkowski jest okropnym i całkiem dla was nie do przyjęcia poetą, to — młodzi krakowscy poeci — Polkowski (niezwykła fraza Polkowskiego, niepowtarzalne enjambements Polkowskiego) rychło i do szczytu was zniszczy. Ale do rzeczy. O co więc chodzi Świetlickiemu? W wierszu „Dla Jana Polkowskiego” powiada on tak: kto zajmuje się w poezji historią, kto pakuje do wierszy konkret historyczny, ten uprawia poezję niewolników. Przepraszam, że tak brutalnie tutaj ten wiersz na inny język

Nieśmiertelność

Część pierwsza

15.

— Widzi pan, Johannie — powiedział Hemingway — ja również nie mogę uciec od ich ciągłych oskarżeń. Zamiast czytać moje książki, książki o mnie piszą. Podobno nie kochałem moich małżonek. Nie dość zajmowałem się synem. Dałem w buzię pewnemu krytykowi. Brakowało mi powagi. Byłem pyszałkiem. Byłem macho. Chwaliłem się dwięście trzydziestoma ranami z wojny, a tymczasem miałem ich tylko dwieście sześć. Masturbowałem się. Byłem niedobry dla mamusi.

— No a co pan myśli, to jest nieśmiertelność — rzekł Goethe — Nieśmiertelność jest wiecznym procesem.

— Jeśli to ma być wieczny proces, trzeba prawdziwego sędziego! A nie wiejską nauczycielkę z linijką w łapie.

— Linijka, którą wymachuje wiejska nauczycielka — toż to właśnie wieczny proces. A pan czego się niby spodziewał, Erneście?

— Niczego się nie spodziewałem. Miałem jedynie nadzieję, że po śmierci będę mógł żyć w spokoju.

— Uczynił pan wszystko, aby stać się nieśmiertelny.

— Gadanie. Pisałem książki i już.

— Właśnie! — prychnął Goethe.

— Nie mam nic przeciw temu. Żeby moje książki były nieśmiertelne. Napisałem je tak, aby nie można było zmienić w nich ani słowa. Zrobiłem wszystko, aby przetrwały wszelkie niepogody. Lecz jako człowiek, jako Ernest Hemingway mam gdzieś nieśmiertelność!

— Rozumiem pana, Erneście. Tyle że należało okazać więcej ostrożności, kiedy pan żył. A teraz niewiele już można poradzić.

— Więcej ostrożności? Czy to aluzja do moich przechwałek? Prawda, za czasów młodości byłem jak kogut. Robiłem z siebie przedstawienie. Upajałem się opowieściami krążącymi na mój temat. Lecz proszę mi wierzyć, choć tak próżny nie byłem przecież potworem a o nieśmiertelności bynajmniej nie marzyłem! W dniu, w którym pojąłem, że ona na mnie czyha, ogarnęła mnie panika. Setki razy nakłaniałem ludzi, by przestali się mieszać w moje życie. Lecz im dłużej ich nakłaniałem, tym było gorzej. Osiadłem na Kubie, aby im się wymknąć. Kiedy dali mi Nobla, odmówiłem wyjazdu do Sztokholmu. Miałem nieśmiertelność w nosie, mówię panu, i powiem jeszcze więcej: w dniu, w którym stwierdziłem, że to ona ściska mnie w ramionach, odczułem przerażenie gorsze niż przerażenie samą śmiercią. Człowiek może położyć kres swemu życiu. Lecz nieśmiertelności kresu położyć nie może. Kiedy wzięła już pana na pokład, nigdy pan nie zdoła zejść na ląd i nawet jeśli strzeli pan sobie w łeb, jak ja, pozostanie pan na pokładzie z tym pańskim samobójstwem i wtedy koszmar, Johannie, wielki koszmar. Byłem martwy, leżałem na mostku a wokół siebie widziałem moje cztery przycupnięte żony, zapisujące wszystko to, co o mnie wiedziały, a za nimi stał mój syn, który też pisał, i Gertruda Stein, ta stara wiedźma, też tam była i pisała, i byli tam wszyscy przyjaciele i opowiadali wszystkie plotki i oszczerstwa, jakie kiedykolwiek na mój temat słyszeli, a za nim cisnęła się setka dziennikarzy z wycelowanymi mikrofonami, a we wszystkich uniwersytetach Ameryki armia profesorów już to klasyfikowała, analizowała, rozwijała, produkując tysiące artykułów i setki książek.

16.

Hemingway drżał i Goethe ujął go za rękę. — Erneście, niechże się pan uspokoi. Proszę się uspokoić, drogi przyjacielu. Rozumiem pana. To, o czym pan opowiada, przypomina mi pewien sen. Był to mój ostatni sen, nigdy więcej już nie śniłem, albo miałem sny tak niewyraźne, że nie potrafiłem ich odróżnić od rzeczywistości. Niech pan sobie wyobrazi małą salkę w teatrze lalek. Stoję za sceną, poruszam lalkami i sam recytuję tekst. To przedstawienie *Fausta*. Mojego *Fausta*. A propos, czy wie pan, że *Faust* najpiękniej wychodzi w teatrze marionetek? Właśnie dlatego byłem szczęśliwy, że nie ma aktorów i że mogę samemu recytować strofy, które owego dnia brzmiały piękniej niż kiedykolwiek. A potem, nagle, spojrzałem na salę i stwierdziłem, że jest pusta. Zbito mnie to z tropu. Gdzie podziali się widzowie? Czy mój *Faust* jest aż tak nudny, że wszyscy wyszli? Czy nie zasługiwałem nawet na gwizdy? Rozejrzałem się w zakłopotaniu dookoła i osłupiałem: spodziewałem się ich na sali, a oni wszyscy stali za sceną! Spoglądali na mnie chciwie, z wytrzeszczonymi oczyma. Kiedy tylko nasze spojrzenia zetknęły się, zaczęli klaskać. I pojąłem, że przyszli oglądać nie marionetki, lecz mnie samego! Nie *Fausta*, lecz Goethego! I wówczas ogarnęło mnie przerażenie, bardzo podobne do tego, o którym pan wspominał przed chwilą. Poczulem, że chcę, abym coś powiedział, ale nie mogłem się na to zdobyć. Ze ściśniętym gardłem rzuciłem lalki na jasno oświetloną scenę, na którą nikt nie patrzył. Starłem się zachować godny spokój; podszedłem do wieszaka, zdjąłem kapelusz, włożyłem go na głowę i, nie zwracając na gapiów uwagi, udałem się do domu. Zmuszałem się, żeby nie rozglądać się na boki, a zwłaszcza, żeby nie patrzeć w tył, bo wiedziałem, że idą za mną. Przekręciłem klucz, otworzyłem masywne drzwi do mojego domu, i szybko zatrzasnąłem je za sobą. Zapaliłem oliwną lampkę i, niosąc ją w drżącej dłoni, poszedłem do



rys. JACEK GAWLOWSKI

gabinetu z nadzieją, że przy mojej kolekcji minerałów zapomnę o tym nieszczęsnym zdarzeniu. Ledwo jednak postawiłem lampkę na stole, wzrok mój padł na okno i zobaczyłem jedną przy drugiej ich ściśnięte twarze. Wówczas zrozumiałem, że nigdy ich się nie pozbędę, już nigdy, nigdy, nigdy. Po ich wielkich, wpatrzonych we mnie oczach spostrzegłem, że lampa oświetla moją twarz. Zgasilem ją, świadomy, iż popełniam błąd: odtąd będą już wiedzieli, iż chowam się przed nimi, że boję się, i dopiero się rozbestwią. Że jednak strach wyparł już rozsądek, pobiegłem do sypialni, zerwałem z łóżka prześcieradło, przykryłem nim głowę i wcisnąłem się w kąt pokoju, przyklejając się kurczowo do ściany...

17.

Hemingway i Goethe oddalają się po drózkach zaświatów a państwo zapytują mnie, skąd wziął się pomysł, by zetknąć tę dwójkę ze sobą? Czy w ogóle można wymyślić bardziej arbitralną parę? Nie mają ze sobą nic wspólnego! I co z tego? A z kim, wedle państwa, wolały Goethe spędzać czas w zaświatach? Z Herderem? Z Hölderlinem? Z Bettiną? Z Eckermannem? Proszę przypomnieć sobie Agnieszkę i jej wstąpienie na myśl, że po śmierci przyjdzie jej zawsze słuchać tych samych kobiecych głosów, które za każdym razem słyszała w saunie. Nie pragnęła też spotkać się ani z Pawłem, ani z Brigitką. Dlaczego zatem Goethe miałby tęsknić do pośmiertnej obecności Herdera? Śmiem nawet twierdzić, że nie miał też żadnej ochoty spotkać Schillera. Oczywiście za życia nigdy by się do tego nie przyznał; jakże bowiem smutnym musiałoby być stwierdzenie, że nie miało się w życiu żadnego przyjaciela. Schiller był z pewnością jego najdroższym przyjacielem. Najdroższy znaczy wszelako droższy niż wszyscy inni, którzy, mówiąc szczerze, nie byli mu szczególnie drodzy. Byli jego współczesnymi, nie wybierał ich. Nawet Schillera nie wybrał. Któregoś dnia musiał uzmysłwić sobie, że będzie ich miał wokół siebie przez całe życie i wówczas trwoga ścisnęła mu serce. Cóż robić, trzeba było się pogodzić. Ale dlaczego miałby sobie życzyć, by widywać ich po śmierci?

Toteż z całkowicie bezinteresownej miłości wyobraziłem sobie, że dam mu za towarzysza kogoś, kto potrafiłby go ująć (jeśli państwo zapomnieli, przypomnę, iż Goethe był za życia niezwykle Ameryką zaciękwiony), kogoś, kto nie przypominałby mu koterii bladoliczych romantyków, która pod koniec jego żywota podbiła Niemcy.

— Wie pan, Johannie — rzekł Hemingway — wielkie to dla mnie szczęście przebywać w pańskim towarzystwie. Ludzie przed panem drżą z szacunku; toż moje własne żony i nawet ta starucha Gertruda Stein na pański widok uciekają gdzie pieprz rośnie. I wybuchnął śmiechem: — Chyba, że to z powodu pańskiego dziwnego stroju!

Aby uczynić słowa Hemingwaya zrozumiałymi, muszę dodać, że nieśmiertelni mają prawo wybrać na spacer po zaświatach ulubiony spośród wyglądown fizycznych, jakie mieli w życiu. A Goethe wybrał swój domowy wygląd z ostatnich lat; nikt, poza bliskimi, takim go nie widział: dla ochrony piekących oczu nosił na czole zielony, przezroczysty daszek, przywiązany do głowy wstążeczką; na nogach miał papucie, a z obawy przed zaziębnieniem otulał się ogromnym, pstrokatym szalem.

Kiedy usłyszał o dziwnym ubraniu, roześmiał się zadowolony, tak jakby Hemingway obdarzył go wielką pochwałą. Potem pochylił się nad nim i powiedział półgłosem: — Wystroilem się tak z powodu Bettiny. Gdziekolwiek idzie, opowiada o swojej wielkiej do mnie miłości. Chcę zatem, żeby ludziska widzieli przedmiot tej

miłości! Gdy tylko spostrzeża mnie z daleka, bierze nogi za pas. I wiem, że trzęsie się ze wściekłości, widząc jak przechadzam się w tej postaci: bez zębów, bez włosów i z tym groteskowym „czymś” nad oczyma.

Część druga

Spacerując po ścieżkach zaświatów, Hemingway dostrzegł w oddali młodzieńca, który szedł mu naprzeciw; był elegancko ubrany i bardzo prosto się trzymał. W miarę jak elegancki zbliżał, Hemingway mógł coraz wyraźniej rozróżnić na jego ustach lekkie, filuterny uśmiešek. Podeszedłszy na kilka kroków, młodzieniec zwolnił, jakby chciał dać Hemingwayowi ostatnią szansę rozpoznania go.

— Johann — wykrzyknął Hemingway zdziwiony.

Goethe uśmiechnął się z zadowoleniem, dumny ze znakomitego efektu scenicznego. Nie zapominajmy, że jako długoletni dyrektor teatru, wiedział jak się do tego zabrać. Ujął przyjaciela za ramię (rzecz interesująca: choć w danej chwili młodszy, nadal zachowywał się wobec Hemingwaya z grzeczną wyrozumiałością osoby starszej) i zaciągnął go na długi spacer.

— Johann — odezwał się Hemingway — jest pan dzisiaj piękny jak młody bóg! Piękno przyjaciela sprawiło mu szczerą przyjemność i zaśmiał się radośnie: Ale, ale, co się stało z pańskimi papuciami? Gdzie podział się zielony daszek? I dodał, kiedy śmiech mu minął: — Tak powinien pan wyglądać na wiecznym procesie. Zmiażdżyć sędziów nie siłą argumentów, lecz swoim pięknem!

— Wie pan, że na wiecznym procesie nie wyrzekłem ani słowa. Z pogardy. Lecz nie mogłem się powstrzymać, by tam nie pójść i ich nie posłuchać. Żałuję tego.

— No cóż, skazano pana na nieśmiertelność, karząc za napisanie książek. Sam mi to pan wyjaśnił.

Goethe wzruszył ramionami i powiedział z niejaką dumą: — Możliwe, że nasze książki są w pewnym sensie nieśmiertelne. Być może. I po chwili dodał półgłosem, z powagą: — Ale nie my.

— Wprost przeciwnie! — goryczą w głosie zaprotestował Hemingway. Prawdopodobnie wkrótce nie będzie się już czytać naszych książek. Po pańskim *Fauscie* zostanie głupawa opera Gounoda. No może jeszcze ten wiersz, gdzie mowa o wiecznej kobiecości, która prowadzi nas gdzieś...

— „Das Ewigweibliche zieht uns hinan” — zadeklamował Goethe.

— O, właśnie... Za to ludzie nigdy nie przestaną obgadywać szczegółów z pańskiego życia, nawet tych najmniejszych.

— Czyż nadal pan nie rozumie, że osoby, o których ludzie mówią, nie mają z nami nic wspólnego?

— Chyba nie będzie pan twierdził, Johannie, iż nie istnieje żaden związek między panem a tym Goethem, o którym wszyscy rozmawiają i piszą. Przyznaje, że nie jest pan całkowicie tożsamy z obrazem, który po panu został. Przyznaję, że dosyć on pana wypacza. Wszelako jest pan w nim obecny.

— Nie jestem obecny w tym obrazie — stwierdził stanowczo Goethe. I powiem panu coś więcej. W moich książkach też nie jestem obecny. Ten, kogo nie ma, nie może być obecny.

— To zbyt filozoficzny dla mnie język.

— Niechże pan zapomni przez chwilę, że jest pan Amerykaninem i ruszy głową; ten, kogo nie ma, nie może być obecny. Czy to takie skomplikowane? Od momentu mej śmierci porzuciłem wszystkie miejsca, które zajmowałem. Nawet książki. Książki te pozostają w świecie bez mnie. Nikt mnie już w nich nie odnajdzie. Albowiem nie sposób znaleźć tego, kogo nie ma.

— Chętnie bym panu wierzył — podjął Hemingway — lecz proszę powiedzieć: jeśli pański obraz nie ma z panem nic wspólnego, dlaczego za życia poświęcił mu pan tyle uwagi? Po co zaprosił pan do siebie Eckermanna? Po co zaczął pan pisać *Poezję i Prawdę*?

— Erneście, musi się pan pogodzić z myślą, że byłem takim samym dziwakiem jak pan. Ta troska o nasz własny obraz to właśnie niepoprawna niedojrzałość człowieka. Jakże to trudne pozostać obojętnym wobec obrazu samego siebie! Taka obojętność jest ponad ludzkie siły. Człowiek dochodzi do niej dopiero po śmierci. I też nie od razu. Długo po śmierci. Pan jeszcze do niej nie doszedł. Pan wciąż nie jest dorosły. A przecież pan nie żyje... od jak dawna?

— Od dwudziestu siedmiu lat — powiedział Hemingway.

— To niewiele. Musi pan jeszcze poczekać, co najmniej ze dwadzieścia, trzydzieści lat. I być może dopiero wówczas pan zrozumie, że człowiek jest śmiertelny i będzie pan umiał wyciągnąć z tego wszystkie wnioski. Wcześniej się panu nie uda. Na jakiś czas przed śmiercią zdawało mi się odczuwać w sobie taką twórczą moc, iż uważałem za niemożliwy jej całkowity zanik. I wierzyłem, rzecz jasna, że pozostawię po sobie obraz, który będzie moim przedłużeniem. Tak, byłem jak pan. Nawet po śmierci trudno było mi się pogodzić, że już mnie nie ma. Wie pan, bardzo to dziwne. Bycie śmiertelnym jest najbardziej podstawowym doświadczeniem ludzkim, a przecież człowiek nigdy nie był w stanie zgodzić się na nie, pojąc je i odpowiednio się zachowywać. Człowiek nie umie być śmiertelny. A kiedy umiera, nie umie być nawet martwy.

— A pan sądzi, że umie być martwy? — spytał Hemingway, by złagodzić powagę chwili. — Czy naprawdę sądzi pan, że najlepszy sposób bycia umartym to trwanie czasu na pogawędki ze mną?

— Niechże pan nie robi z siebie durnia, Erneście — powiedział Goethe. Wie pan dobrze, że jesteśmy w tej chwili frywolnym wymysłem jakiegoś powieściopisarza, który każe nam mówić to, czego prawdopodobnie nigdy byśmy nie powiedzieli. Dajmy zresztą temu spokój. Czy zauważył pan, jak dzisiaj wyglądam?

— Powiedziałem to panu, jak tylko go rozpoznałem! Jest pan piękny jak bóg!

— Takim byłem w czasie, gdy całe Niemcy widziały we mnie nieustraszonego uwodziciela — powiedział Goethe tonem niemal uroczystym. Po czym dodał, wzruszony: — Chciałbym, żeby taki obraz zachował pan po mnie na przyszłe lata.

Hemingway spojrzał na niego z nagłą i czułą wyrozumiałością: — A jaki jest pana wiek post mortem, Johannie?

— Mam sto pięćdziesiąt sześć lat — odparł Goethe nieco zawstydzony.

— I dotąd się pan nie nauczył bycia umartym?

Goethe uśmiechnął się: — Wiem, Erneście. Postępuję nieco sprzecznie wobec tego, co panu przed chwilą powiedziałem. Dałem się ponieść tej dziecinnej próżności, lecz tylko dlatego, że widzimy się dzisiaj po raz ostatni. A potem powoli, jak człowiek, który nie złoży już nigdy żadnego oświadczenia, wypowiedział te słowa: — Albowiem raz na zawsze zrozumiałem, że wieczny proces jest bzdurą. Postanowiłem skorzystać z mojej martwej kondycji i, proszę mi wybaczyć niewłaściwość wyrażenia, pójść spać. Aby smakować rozkosz całkowitego niebytu, o którym mój wielki wróg Novalis powiadał, że kolor jego błękitny.

Część trzecia

9.

Zapadł już zmrok. Włączywszy światła, Agnieszka przejechała granicę Szwajcarii i znalazła się na francuskiej autostradzie, która zawsze napawała ją strachem; dobrzy, porządni Szwajcarzy przestrzegali przepisów, podczas gdy Francuzi krótkimi, poziomymi ruchami głowy wyrażali swe oburzenie, jeśli ktokolwiek chciał podważyć ich prawo do szybkości i zamieniali swe wyjazdy w orgiastyczną celebrację praw człowieka.

Czując głód, postanowiła przystanąć na kolację w jakiejś przydrożnej restauracji czy motelu. Z lewej minęły ją z piekielnym hukiem trzy wielkie motocykle; w świetle reflektorów zdawało się, że ich kierowcy przebrali się w skafandry astronautów, co nadawało im wygląd jakiś kosmicznych, nieludzkich stworzeń.

Dokładnie w tej samej chwili nad naszym stolikiem pochylał się kelner, aby zabrać talerze po przystawkach, ja zaś mówiłem do Avenariusza: — Tego ranka, gdy zacząłem pisać trzecią część powieści, usłyszałem w radiu wiadomość, której nigdy nie zapomnę. Jakaś dziewczyna wyszła w środku nocy na drogę i usiadła tyłem do samochodów. Z głową między kolanami czekała na śmierć. Kierowca pierwszego samochodu skręcił w ostatniej sekundzie i zabił się, a wraz z nim zginęła żona i dwójka dzieci. Drugi samochód również wylądował w rowie. A potem trzeci. Dziewczyni nic się nie stało. Podniosła głowę i odeszła, i nikt nie dowiedział się nigdy, kim była.

Avenarius zapytał: — Jakie racje, twoim zdaniem, mogą skłonić młodą kobietę by w środku nocy usiadła na drodze i dała się rozjechać?

— Nie mam pojęcia — odparłem — lecz założę się, że powód był śmieszny. A raczej, że był to powód, który z zewnątrz wydałby nam się śmieszny i zupełnie niedorzeczny. — Dlaczego? spytał Avenarius.

Wzruszyłem ramionami: — Nie mogę sobie wyobrazić jakiejś istotnej racji — choćby nieuleczalnej choroby czy śmierci kogoś bliskiego — która byłaby zdolna nakłonić do tak przerażającego samobójstwa. W podobnym przypadku nikt nie wybrałby równie potwornego końca pociągającego za sobą śmierć innych ludzi! Tylko racja pozbawiona rozumu może doprowadzić do takiego niedorzecznego horroru. We wszystkich językach wywodzących się z łaciny, słowo racja (ratio, reason, ragione) ma dwa znaczenia: określa wprawdzie zdolność refleksji, a dopiero później „przyczynę”. Zatem rację jako przyczynę uważa się zawsze za coś rozumnego. Racja, której rozumność nie jest jasna, wydaje się niezdolna do wywołania skutku. Owóż w języku niemieckim o racji jako przyczynie mówi się Grund, i jest to słowo, nie mające nic wspólnego z łacińskim ratio, oznaczające wprzódzi ziemię, następnie fundament. Z punktu widzenia ratio łacińskiej, zachowanie dziewczyny siedzącej na drodze, zdaje się absurdalne, niemiarkowane, nierozumne a jednak ma ono swoją rację, to znaczy swój fundament, swój Grund. W głębi każdego z nas tkwi Grund, będący trwałą przyczyną naszych uczynków, będący ziemią, na której rośnie nasze przeznaczenie. Próbuje uchwycić Grund każdego mojego bohatera i jestem coraz bardziej przekonany, że ma on postać metafory.

— Nie pojmuję twej myśli — rzekł Avenarius.

— Szkoda, to najważniejsza myśl, jaka kiedykolwiek przyszła mi do głowy.

W tej chwili pojawił się kelner niosąc tacę z kaczka. Jej zapach był tak cudowny, że uwagi, które wymieniliśmy przed chwilą, zupełnie uleciały nam z głowy.

Dopiero po dłuższej chwili Avenarius przerwał ciszę: — No a o czym właściwie teraz piszesz?

— Tego nie da się opowiedzieć.

— Szkoda.

— Niby dlaczego szkoda? Całe szczęście. W naszych czasach człowiek rzuca się na wszystko, co w ogóle zostało napisane, aby zrobić z tego film, spektakl telewizyjny albo komiks. A jako że istotą powieści jest mówienie tego, co powieść jedna może powiedzieć, do adaptacji przedostają się rzeczy nieistotne. Ten, kto jest na tyle szalony, by pisać dzisiaj powieści, powinien, jeśli chce je ocalić, pisać tak, by nie dało się ich adaptować, mówiąc inaczej, by nie dało się ich opowiedzieć.

Nie podzielił mego zdania: — Z najżywszą przyjemnością opowiem ci, kiedy tylko zechcesz, *Trzech Muszkieterów* Aleksandra Dumasa, od początku do końca!

— Ja również, jak ty, lubię Dumasa — rzekłem. Żałuję jednak, że niemal wszystkie do dzisiaj napisane powieści nadmiernie przestrzegają zasady jedności akcji. Chcę przez to powiedzieć, iż opierają się na jednym przyczynowym związku zachowań i zdarzeń. Powieści te przypominają wąską uliczkę, wzdłuż której batem pogania się bohaterów. Napięcie dramatyczne jest prawdziwym przekleństwem powieści, ponieważ przekształca ono wszystko, najpiękniejsze nawet stronice, najbardziej nawet zadziwiające sceny i obserwacje w zwykły etap prowadzący ku zakończeniu, w którym gromadzi się cały sens tego, co wydarzyło się wcześniej. Pożerana ogniem własnego napięcia powieść spala się niczym stóg siana.

— Gdy tak ciebie słucham — odezwał się nieśmiało profesor Avenarius — lękam się, że twoja powieść będzie nudna.

— Ależ! Czy zawsze należy uważać za rzecz nudną to, co nie jest frenetycznym pędem ku ostatecznemu zakończeniu? Czy tak się nudzisz, rozkoszując się tym wspaniałym kaczym udkiem? Czy spieszysz się do celu? Wręcz przeciwnie, chcesz, by kaczka wnikała w ciebie możliwie jak najwolniej i by jej smak trwał w tobie wiecznie. Powieść nie powinna przypominać kołarskiego wyścigu, lecz ucztę, podczas której podaje się niezliczone ilości dań. Czekam z niecierpliwością na szóstą część. W mojej powieści pojawi się nowa postać. I wraz z końcem tejże szóstej części zniknie, tak jak się pojawiła, nie zostawiając żadnego śladu. Nie jest przyczyną czegokolwiek i do niczego nie doprowadza. Właśnie to mi się podoba. Będzie to powieść w powieści i najbardziej smutna historia erotyczna jaką kiedykolwiek napisałem. Nawet ciebie zasmuci.

Avenarius milczał zakłopotany, a potem grzecznie spytał: — A jaki tytuł będzie nosiła twoja powieść?

— Nieznośna lekkość bytu.

— Przecież już ktoś posłużył się tym tytułem.

— Tak, ja! Tyle że wówczas popełniłem błąd. Powinien należeć do powieści, którą piszę teraz.

Milczeliśmy, zważając już tylko na smak wina i kaczki.

Przeuwając, Avenarius oznajmił: — Moim zdaniem, za dużo pracujesz. Powinieneś zadbać o swoje zdrowie.

Wiedziałem dobrze, o co mu chodzi, lecz nie dawałem tego po sobie poznać i w milczeniu smakowałem wino.

przełożył Marek Bieńczyk

MILAN KUNDERA, *L'Immortalite*, Gallimard, Paryż 1990.

TYGODNIK
LITERACKI II

film

Chce się wyć

Pod komunistyczną kolderką filmowi było wcale ciepło, może trochę niewygodnie, ale ciepło. Reżyserzy znali reguły gry o film (przy ich liczbie, przekraczającej dziesięciokrotnie ilość produkowanych rocznie tytułów, takie reguły musiały powstać). Zнали też reguły „gry w film”: film dobry to oczywiście film, któremu władza stawiała opór, a więc — z zasady — film polityczny.

W krajach komunistycznych upolitycznienie kina przybrało skrajne formy i trwało kilkadziesiąt lat. Film polityczny stał się dominującym doświadczeniem realizatorskim kilku pokoleń twórców. Nawet u tak niezależnie myślących ludzi, jak Stanisław Różewicz czy Krzysztof Zanussi wątki polityczne są wyraźne. Jak trudne jest wyzwalanie się od gnioła politycznego niech świadczy droga Krzysztofa Kieślowskiego od *Blizny do Bez końca* i *Dekalogu*.

Im władza słabsza, tym filmy lepsze — prawo ustanowione przez Andrzeja Wajdę obowiązywało. A władza była słaba już w 1956 roku i od tamtej właśnie pory malała jej czujność ideologiczna, a tym samym skuteczność kontroli twórców i widzów. Nie znaczy to, że nie czyniła zła. Kiedy mogła, czyniła, ale nawet w stanie wojennym nie zdecydowała się zniszczyć *Przesłuchania* Ryszarda Bugajskiego.

Potrafiła jednak — przynajmniej — narzucić przekonanie, iż sens ma w naszych warunkach wyłącznie film społeczno-polityczny. I temu mniemaniu większość reżyserów bezrefleksyjnie uległa.

Było to o tyle łatwiejsze, że kolderka opiekuńczego mecenas — jedyne go producenta, oddzielała skutecznie reżyserów od widzów. Jeżeli istniały tu jakieś bliższe związki, to wyłącznie między twórcami a elitą odbiorców, członkami Dyskusyjnych Klubów Filmowych.

Swoją rolę odegrali także krytycy, omawiający właściwie tylko te filmy, które uznawali za szczególnie wartościowe artystycznie. Tak więc i oni, siłą rzeczy, prowadzili rozmowę z bardzo wąskim kręgiem wyrobionej publiczności.

Na ile mogą się ważyć



MIECZYSLAW JASTRUN *Dziennik. Wybór z lat 1955-1960 Puls, 1990, s. 192*

Dzisiaj można odnieść wrażenie, jakby wszyscy porzucili kino. Państwo zrezygnowało z monopolu produkcji i rozpowszechniania. Kina pozamierały tak skutecznie, że wiele miast liczących ponad pół setki tysięcy mieszkańców nie posiada choćby jednej, profesjonalnej sali projekcyjnej. Również część krytyki odwróciła się od filmu, a i same pisma filmowe mocno podupadły.

Zostali twórcy. Przypomnę, że wybitny rzeźbiarz August Zamojski uważał, że w takim kraju jak nasz wystarczy kształcić jednego, dwóch rzeźbiarzy rocznie. Sądzę, że podobnie jest z reżyserami i operatorami. Część z nich wyjechała jeszcze w latach sześćdziesiątych. Wyjeżdżali i później, ale i tak pozostała masa frustratów, ludzi którym czasem przez dziesięciolecia nie udało się zrobić żadnego filmu. Żyją w tym przedziwnym zawieszaniu, którego jedynym skrzydłem jest tytuł reżysera, drugim kompleks niezrealizowanego twórcy.

I nawet nie są przerażeni wolnością, gdyż bardzo często nie uświadamiają sobie, na czymże owa wolność polega. Część z nich takie przerażenie zdołała już przeżyć w latach 1980-81 i wyciągnęła — błędne jak sądzę — wnioski z działań zdolniejszych kolegów. To wtedy bowiem powstały najlepsze filmy polityczne: *Dreszcze* Wojciecha Marczewskiego, *Wahadelko* Filipa Bajona, *Kobieta samotna* Agnieszki Holland, *Przesłuchanie* i — last but not least — *Człowiek z żelaza* Andrzeja Wajdy.

Być może łatwiejsze, a być może trafniejsze wydało się autorom tych filmów podjęcie tematów wcześniej — z przyczyn politycznych — nieobecnych na ekranach kin.

Rok 1989 poszerzył niezmiernie pole wolności tematycznej i wydobył z przeszłości całe kontynenty nieopisanej historii i martyrologii. To bardzo kuszące dla filmowca: Katyń i Ostaszków, NKWD i UB. Ofiary i oprawcy. Ofiary anielejące, oprawcy, z definicji smolście piekielni.

Do tej pory zdarzyło mi się przeczytać kilka scenariuszy zbudowanych na powyższej zasadzie. Wszystkie bez wyjątku złe. Równie słabe są filmy usiłujące opisać stan wojenny, z jednym wyjątkiem — *300 mil do nieba* Macieja Dejcera.

Być może trzeba wreszcie pogodzić się z tym, że homo politicus przestał być w kraju postkomunistycznym postacią filmową, że nadszedł koniec człowieka zbiorowego, zapowiadający zapewne pojawienie się bohatera „normalnego”, takiego samego, jak wszędzie indziej. Może stanie się nim outsider, może buntownik, może człowiek pogodzony z życiem... Z pewnością nie będzie nim przedstawiciel takiej czy innej klasy społecznej.

Od żadnego gatunku literackiego nie oczekujemy tak wiele, jak od dzienników. Szukamy w nich obrazu czasów, które minęły. Szukamy płotki, anegdoty, charakterystyki ludzi i wydarzeń, przemyśleń na temat literatury, sztuki, cywilizacji. Mogłoby się wydawać, iż dziennik to taki ogromny wór, w który da się wrzucić właściwie wszystko. Tymczasem sztuka pisania dzienników polega na rygorystycznym wyborze, samoograniczeniu, dyscyplinie pisarskiej. Dziennik jest lustrem. W nim powinna się odbijać zarówno twarz autora jak i świat, który on ogląda. I muszą być zachowane proporcje między twórczym ego a tym, co dzięki wrażliwości, wyobraźni, intelektowi, wiedzy pisarza, dociera do nas jako obraz rzeczywistości. Twarz piszącego powinna się ylaniać nie z bezpośredniej relacji o sobie, lecz ze sposobu, w jaki przeżywa i interpretuje świat. Jest więc ten prywatny zapis drogą wiodącą do samopoznania i uporządkowania zewnętrznych zdarzeń. Obraz takiej drogi przekazuje nam *Dziennik* Mieczysława Jastruna. Są to notatki z lat 1955-1960, które nie były zapewne pisane z myślą o ich publikacji. Nie ma w tym *Dzienniku* obie-

Być może więc tematem przyszłego polskiego filmu stanie się porządny człowiek, człowiek przyzwyczajony (tu ścieżki przecierał Andrzej Barański filmem *Kobieta z prowincji*), który nie pozwala „rewolucyjnym” przemianom dokonać spustoszeń przynajmniej w swym najbliższym otoczeniu, w rodzinie. Jednocześnie — nie zapominać — prawem paradoksu jest to człowiek, na którym wspierał się reżim totalitarny, ponieważ to jego dobra praca, solidne wykonywanie obowiązków bez świadomości, czemu ta praca służy, jakie są jej rzeczywiste efekty, stanowiły podstawę długiego trwania nie akceptowanej w istocie przezeń władzy. Być może w orbicie zainteresowań filmowców pojawi się proza Kornela Filipowicza?

A może najrozsądniej byłoby po prostu machnąć ręką na skromną kinematografię kraju średniej wielkości i przestać wreszcie współ-czuć z kinem polskim tylko dlatego, że aktorzy mówią w nim tym samym językiem co widzowie? Może jedyną prawdziwą racją, poświęcenia przez krytykę polską nieproporcjonalnie dużej ilości słów w porównaniu z ilością wyprodukowanej taśmy, było właśnie takie fałszywe współ-czucie, oparte na wzmówionym poczuciu wspólnoty między robiącymi filmy a publicznością?

Może to, co dziś widzimy, oznacza w ogóle koniec filmu polskiego, jako zjawiska na tyle spójnego, by dało się mu poświęcić w przyszłości książkę czy też podręcznik? Może kina polskiego nigdy nie było, może istniały jedynie przedziwne układające się konfiguracje paru nazwisk, parę — zmarnowanych zresztą — błysków aktorskiego talentu, kilka — w najlepszym razie kilkanaście — dobrze napisanych scenariuszy?

Może więc film polski to tylko sztucznie wyprodukowany i utrzymywany przy życiu przez minioną władzę niesamoistny byt, fantom, powidok na ekranie, który bez hałasu propagandowego i krytycznego nie ustałby na własnych nogach, bo tych nóg oddanej mu publiczności, w istocie nigdy nie miał?

Szwajcaria żyje wcale dobrze bez rodzimej kinematografii, Norwegowie obcho- dzą się bez kina norweskiego. Kto dzisiaj pamięta o kinie austriackim, gdzie są filmy duńskie, portugalskie?

Czy Polacy muszą się wybijać na własną kinematografię?

Czy Polak musi oglądać filmy polskie? Przecież i tak od zawsze wolał amerykańskie.

Waldemar Chołodowski

ktywnych, wyważonych sądów, intelektualnej ekwilibrystyki. Znajdziemy w nim natomiast emocje, subiektywne oceny, wnikliwe analizy dzieł sztuki, polityczne pasje, świetne charakterystyki ludzi ze środowisk artystycznych Warszawy.

10 września 1955 roku poeta zapisuje: „Wiersz *Ważyka Poemat dla dorosłych* wywołał oburzenie w górze partyjnej. Podobą się natomiast zwykłemu czytelnikowi. Ma się odbyć konferencja w tej sprawie. Myślę nad tym, ile mogą powiedzieć, na ile mogą się ważyć powiedzieć”.

Czyż nie od tego pytania — „na ile mogą się ważyć” — zaczyna się droga polskich intelektualistów uwikłanych w komunizm? Dzięki tym wszystkim zapisom, recenzjom, omówieniom malarstwa i poezji, czytelną staje się walka o to, aby nie ulec kolejnym kompromisom, zachować nieufność wobec świata polityki, wyraźnie postrzegać postawy innych. Mieczysław Jastrun wiedział, że „Tylko z bliska rzecz staje się nie do zniesienia. Ale żyjemy blisko. Oddalenie — to umieranie”.

Przybliżanie siebie i zbliżanie się do świata rzeczy pozostaje dla mnie najcenniejszą wartością *Dziennika* Jastruna.

I.S.

sztuka

Wystawa

Towarzystwo Zachęty Sztuk Pięknych powstało w 1860 roku. Stawiało sobie za cel organizowanie wystaw, kształcenie i udzielanie pomocy polskim artystom oraz tworzenie zbiorów polskiego malarstwa i rzeźby. Gmach Towarzystwa przy placu Małachowskiego w Warszawie wzniesiony został w latach 1898-1899 i 1903 według projektu Stefana Szyllera.

Jedenaście stopni prowadzi z poziomu placu do głównych drzwi wejściowych. W dwa przeciwległe końce reprezentacyjnego holu wciśnięte są dwie budki — po prawej portiernia, po lewej kasa (cena biletu 1000 zł, ulgowy 500). Czterdzieści trzy stopnie prowadzą na piętro.

Podest — Łódź Kaliska.
Drzwi na lewo, pierwsza sala — Galeria Dziekana.

Drzwi na wprost, druga sala — Galeria Wschodnia.

Drzwi na prawo, trzecia sala — Galeria Wschodnia.

Drzwi na prawo, czwarta sala — Galeria Młodych.

Drzwi na wprost, piąta sala — Galeria Młodych.

Drzwi na prawo, szósta sala — Galeria Wielka.

Drzwi na wprost, siódma sala — Nareszcie — Zderzak!

Czysty układ: Łukasz Skąpski, dookoła: Jarosław Modzelewski, Marek Sobczyk, Ryszard Grzyb, Anna Maria Bauer, Ryszard Woźniak.

I znowu szósta sala... Galeria Wielka.

Podest.

Na prawo schody w dół.

Wygląd, stan zachowania wnętrza budynku Zachęty jest bardzo zły. Farba na ścianach w wielu miejscach łuszczy się i odpada. Także materiał obiciowy ścian brudny, gdziegdzie podarty. Gruba warstwa olejnej farby na drzwiach pomiędzy salami jest poobijana. Przewody instalacji elektrycznej we wszystkich salach podobnie niestarannie pomalowane i niechlujnie poprzymocowane do ścian. Na podłodze — wielkie ciemno-szare plamy starożytnego lakieru. Wiele małych szyb w oknach sufitowych jest rozbitych, a pozostałe bardzo brudne. Duże czerwone gaśnice utrzymane w bardzo dobrym stanie i starannie wyeksponowane.

Tomasz Nieboga

Galerie lat osiemdziesiątych, 7-23 V Zachęta, Warszawa. Poszczególne sale zaaranżowane przez: Galerię Dziekana z Warszawy, Galerię Młodych z Warszawy, Galerię Wielką z Poznania, Galerię Wschodnią z Łodzi i Galerię Zderzak z Krakowa.

MON w natarciu

BOLESŁAW PRUS, *Faraon*, Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, Warszawa 1990. Wydanie XXIX.



Nie damy się wycyckać.

KOŁBASKOWO

Nr 1 □ 17 CZERWCA 1990 □ redaguje ZBIGNIEW SAJNÓG

Zjawisko grup poetyckich przejmujące do głębi:

Grupa Poetycka „Zlali mi się do środka”

Grupa Poetycka „Zlali mi się do środka” istnieje od tak dawna, że właściwie od niechęci. Rozczłonkowana i od zawsze niecałkowita (w tym sensie, że grupa) udzieliła wielenaście doraźnych, oficjalnych recytacji i czegoś, nazwijmy je — wypląszeń. Natomiast nieoficjalna egzystencja twórcza przelewa się w egzystencję w ogóle, z boku na bok co rano. I mimo wielokrotnych kulawików, doniosłość tego wszystkiego jest przeogromna i dalekosiężna. Nazwę swą grupa zawdzięcza robotnikom, z którymi Tymon pracował na budowie i zarazem Tymonowi, który usłyszał ją od robotników, z którymi

w serbskim piśmie „Rzeź lasu”; ten sam Kudłaty — żywo badający źródła twórcze prześlicznej poetki Agnieszki Walczak, onże, współpiszący spółkowe powieści, jak na przykład: *Kłapouch czy Tomek wzdłuż lutych lodowców Grenlandii*, ten sam autor licznych tomów wierszy, twórca teorii i praktyki „Literatury Immanentnej Koegzystencji”.

A oto teraz Paulus, zwany też swojsko Phallim (ostatnio także: Angel — po tym, jak pewna staruszka na przystanku tramwajowym w Warszawie stawiała go krnąbrnej młodzieży za wzór, nazywając aniołkiem i słodko głaszcząc jego blond głowinę). Karta w dziejach narodowej literatury, tym cenniejsza, że nie skażona żadną lekturą i żadnym wpływem. Ten sam Angel — mistrz krótkiej formy bez drobiny sensu i arcymistrz zaumu i profuzji.

Teraz weźmy: śliczny Don Mario, powstać sama w sobie, choć nie pozbawiona wrzodów dwunastnicy, Mario słynący z niezwyklej długości i manewrowości języka, recytator rzucający tłumy do stóp, przy tym niechętny oficjalnym recytacjom. Autor pereł literackich tej klasy, co legendarny już: „Romuald Widelec i 4 gazy”, a przy tym współautor dramatów (*Vide: Od uzdy do pizdy. Tragedia podsceniczna z zachowaną jednością miejsca i czasu*) i duktów profuzji. Mario słynie też jako nieociekony zagubiciel wierszy (zgubił wszystkie), co w powiązaniu z faktem całkowitego zarzucenia produkcji nowych, zdaje się strącać ów kruchy talent ze szczytów zapoznania w przepaście zapomnienia. Wielka to szansa dla innych, którzy piewcy tak tragicznemu mogą przykreować śmiałe legendy. I są tacy — tu wskazuję wyciągniętym palcem na Michasia, zapraszając go w czułe ciepło zlanego środka, jako jeszcze jeden klejnot w koronę znakomitości.

Oto następna, tym razem gwiazda, typ nieco męski, ale przecież kobieco liryczna, wciąż jeszcze niezapomniana poetka Gertruda Jarząbek — słynna z dworcowo-pociągowych poezokoncepcji, pupilka publiczności, którą niewolił mową swojego przekazu. Dużo, dużo wierszy (100 na miesiąc), wszystkie wysokiej marki, choć najlepsze w autorskiej prezentacji. Niestety, nie dalej jak trzy dni temu, artystka opuściła nasze ziemie, po zmianie pseudonimu na: Lopez Mausere, osiadła na terenach należących do Rzeszy.

A oto jakoś przekraczająca samą siebie, indywidualność o mocy wyładowań ośmiu pierwiastków z czterech, Ryszard Tymon Tymański, biegły renowator Dubrownika, pepsodent smile,

basówkarz, kontrbasówkarz i basetlarz, śpiewak, muzyk i profuzyk, anglista, flniasta, erudyta, oryginalny współautor *Tomków i Gostanil w kulce*, autor tomu pod tytułem *Poezycje*, wykradzonego przeze mnie podstępem (chodzą już legendy o tem). Oto on: dręcząco-męczący menierk. Nie sposób też nie paść do stóp Joannie i Andrzejowi (Yo Als Jetzt) z racji nieustającej pomocy graficznej, malarskiej i ogólnie — wizualnej (in action), nie sposób nie smakować poematów permanentnych Macieja (Yo Als Jetzt) i w ogóle całego Yo Als Jetzt unurzanego w aktach poezji ulicznej.

Wreszcie ja, skromny autor rozległego dzieła poetyckiego — i dzieła w ogóle. Ja, o którym własna dziewczyna mówi, że wyglądam jak karzeł i zboczeniec, bo mam kobiecą sylwetkę, co, przysięgam, w niczym nie ujmuje doniosłości moich lirycznych konstrukcji i wybroczyn. (Wiem, że powinno być:

nie ujmuje doniosłości moim lirycznym konstrukcjom i wybroczynom — ale to przecież bardzo źle brzmi).

Przez zapomnienie zapomniałem, że przecież pracuje jeszcze z nami Człowiek Zwany Psem, zwany też Brzóska, biegły i celny aforysta, przy tym autor szczegółowych traktatów hipotetyczno-historycznych.

A jeszcze przecież Paweł Konik, zwany też Apollem, niespożyty organizator i spider całej grupy, edytor i niezależny głosiciel zagajeń i wprowadzeń, nieczuły na sądy i uwielbienia tłumów, prześladowca najdrobniejszych nieaktywności.

Tak oto zamyka się wyliczenie społecznych metafizyków, zamyka się, choć przecież jego wrota szeroko odemknione dla każdego, kto chciałby nęcić powszechny smak i powszechną nieortodoksję. Reszty dowiedzą się Państwo z nekrologów.

Serdecznie zapraszam
Zbigniew Sajnóg

Lopez Mausere

Martwiłem się
Mama powiedziała
cieszyć się, że nie
jesteś w komorze
gazowej.
Moja mama
umie mnie odpowiednio
natchnąć
A tato powiedział,
chyba że to by była
komora z gazem
rozweselającym
myślę że moi
rodzice mają
duży wpływ
na moją twórczość

TOCZY NA BOKI SIĘ
KOŁO HISTORII

umarł Mieszko
umarł Chrobry
umarł Krzywousty
umarł Kuśmider — woźnica
urodził się Maćko z Malejowic
zarżnięto byka Jana z Kuszawy
Kazimierz Wielki zabetonował Polskę
Bolesław Bierut referaty wygłaszał
pani Nowakowa umarła na żyłaki
a ja się jeszcze żyję i nie wiem czy
to coś znaczy np. dla Rydza Śmigłego

pracował na budowie. Nazwę tę, po części, grupa zawdzięcza też samej sobie, bo ją sobie upodobała na nazwę. I teraz spieszę wyjaśnić, że bywa nas wielu, jeszcze trzeba.

Oto Kudłaty — wzięty czechista i autor opowiadań drukowanych za dolary

Brzóska (Dariusz Brzoskiewicz)

ZŁOTE MYŚLI PSA

Jak dostałem kolbę w kukurydzy (reportaż z Nikaragui 1976).
Gdy karaluch na stole to nie ma biedy (przysłowie).
Majtki majtkom nierówne (przysłowie marynarskie).
Gdy mnie gonili dwie gąsienice (wspomnienia z frontu wschodniego).
Tata pale rzucili (w sklepie w Biskupinie).



TOTART CONTAINER: ADEKWATNOŚĆ

Oto długo oczekiwane tworzenie w adekwatności, czyli zgodnie z rozpoznawanymi właściwościami sytuacji, wchodzenie z nią w istotną interakcję — gdyż tylko stąd może wieść droga ku jej kształtowaniu. W tym rozumieniu *adekwatność* nie wykląda się jako kompromisowość — przeciwnie, jako działanie bezkompromisowe, w odwadze stawania wobec rzeczywistości jaką jest, w zwarcu, bez ambicjonalnej ucieczki w wyścig środków i derby produkcji. Tak rozumiana adekwatność jest wykroczeniem poza szkolną opozycję *tradycji i awangardy*. Usuwa pozamerytoryczną kategorię nowości jako wyróżnik wartości dzieła. Podkreśla i daje istotną siłę trafienia w sedno, z jednoczesnym wykraczaniem poza uwarunkowanie dzieła jego położeniem w czasie, który przecież, jak uczą metafizycy, nie istnieje.

linia czasu →

kategoria piękna
(estetyzm
kontemplacja
— bierność)

kategoria nowości
(antyestetyzm
prowokowanie
do aktywności
— kontemplacja
czynna?)

kategoria adekwatności
(niewyróżnianie
estetyczne
dowolność
aktywistyczna
— mix)

Awangarda, za swoje ambicjonalne wysunięcia przed szereg, płaci chwiejnością i upadkami na niepewnym gruncie, *tradycja* za swoją betonową pewność, płaci maruderstwem i schnięciem bez soków. *Adekwatność* jest trafianiem w punkt, trzymaniem rytmu, hasaniem po soczystej łące.

Niniejszym otwieramy przestrzeń dla ujawnienia tego, co potocznie przyjęto nazywać kontestacją, neokontestacją, kontrkulturą, subkulturą, alternatywą i życiem rockendrolowym, a co my przywykliśmy określać metafizyką społeczną.

Poszukujemy współpracowników skłonnych wypełniać nasz serwis gorącymi informacjami o własnej i cudzej działalności. Niecierpliwie oczekujemy na teksty i utwory.

Adres redakcji:

00-538 Warszawa, ul. Wilcza 1/21

(z dopiskiem: „Kolbaskowo”)

telefon: 21-12-79

Ciemnogród w natarciu

Można było się spodziewać, że wraz z upadkiem starego ustroju, gdy runą mury i pęką kraty — zarówno te materialne, jak i te nie mniej rzeczywiste, psychiczne — nie same tylko anioły i czyste duchy rozwiną skrzydła i uniosą się nad polską ziemią. Można było oczekiwać że z rozmarzonych szczelin, szpar, zaulków i zakamarków wychynie na świat wszelaka podłość, małość, miałość i pospolita głupota. Ale kto przypuszczał, że będzie taka pewna siebie, okazująca rany i stygmaty męczeńskie na równi ze szlachetnością i mądrością? Bo przecież też była gnębiona, też ciężkiej podlegała opresji — razem z wszelką wolną i niezależną myślą. Tyle, że w odróżnieniu od niej — słusznie i sprawiedliwie...

Ale głupota o tym nie wie. Ciemnota tego nie rozumie. Krzywdzona przez lata, spychana z publicznego widoku, pozbawiona prawa wypowiedzi, okrutnie cenzurowana, tępiąca bezwzględnie przez oświatę, kulturę i naukę — teraz nareszcie wolna, dorwała się do głosu! I to jakiego jeszcze!

To już nie tylko głos, ale krzyk. Wrzask nawet. Z odpowiednią domieszką klątw i pogroźek. A przeciw komu? Na kogoż tak nasz rodzimy Ciemnogród powstał, jeśli nie przeciw swemu największemu wrogowi, odwiecznemu ciemniejszyteli i pogromcy? Któż nim? Oczywiście kultura.

Mnożą się w pismach, pojawiają się w radio i telewizji, w różnych publicznych wypowiedziach, zakamuflowane lub otwarte ataki na kulturę i ludzi kultury. Że domagają się przywilejów i zaszczytów, a do prawdziwej roboty żaden się nie przyłoży. Że objadają biedne dzieci i chorych starców. Że nie sięją, nie orzą, a wyciągają ręce po ziarno.

Swego rodzaju szczytu — czy raczej dna — sięgnął w tej publicystyce autor nazwiskiem Marian Skwara, który znalazł niestety miejsce na wypowiedź w jednym z ostatnich numerów rozsądnej, uczciwej, zwykle niegłupiej „Gazety Bankowej”. Jego „głos barbarzyńcy” pod kąśliwym tytułem „O tforcach kóltury” takie oto między innymi zawiera myśli. Cytując:

„Relacja twórcy-konsumenta nie pokrywa się z relacją ekonomiczną. Na pisarza i aktora łoży ciężko pracujący robotnik i zmordowany chłop, którzy nigdy w teatrze nie byli i tam się nie wybierają, a po próbie przeczytania jednego akapitu książki od razu zasypiają. Stulecie musi dopłacać do zabawy dziesięć!”

Uwaga, uwaga! Do „zabawy”! Kultura — jedyna rzecz, dla której warto rodzić się i żyć, jedyna wartość, która życiu ludzkiemu nadaje cechy istotnie ludzkie — to zabawka, pusta igraszka! Cel i sens życia — to relacje ekonomiczne. Wymiana towaru na towar... Czytajmy dalej.

„Obrońcy kultury nie chcą pogodzić się z zasadą swobodnej, ekwiwalentnej wymiany między producentem a odbiorcą. Wszystkie stosunki międzyludzkie bywają nieekwiwalentne tylko w następstwie zastosowania przymusu. Temu prawu podlegają nawet najwznioślejsze uczucia, jak przyjaźń i miłość. Jedno i drugie polega na wymianie usług. Jeśli wymiana przestaje być ekwiwalentna, uczucie gaśnie.”

Nie, proszę państwa! Koniec cytatu. Dość tych bredni, wystarczająco ekwiwalentnych dla umysłowego i uczuciowego Ciemnogródu, który je wyprodukował.

Zaoszczędź czytelnikom cytowania produkcji pana Skwary w szerszym wyborze — a jest tego jeszcze paręnaście akapitów, w tym samym stylu i o tej samej, porażającej głupocie, treści. Są tam jeszcze kłamstwa o tym iż bogate kraje o rynekowej

gospodarce nie dopłacają z budżetu do artystów, co jest nieprawdą. Jest tam jeszcze pomówienie kultury i ludzi kultury o komunizm. O tęsknoty do totalitaryzmu i „systemu nakazowo-rozdzielczego”. Pisz Skwara marksistowskim językiem: „Konserwatywna grupa funkcjonariuszy dotychczasowego aparatu kulturalnego i zależni od niej twórcy usiłują bronić swych klasowych interesów w obliczu groźby przemian. (...) Usiłują wmówić społeczeństwu, że rozpad dotychczasowych układów równa się upadkowi kultury”.

Trudno sobie wyobrazić większą beczelność! Pan Skwara doprawdy zapomniał w tym momencie, komu zawdzięcza wolność — niestety, również wolność wypisywania podobnych bredni.

Sprawokowany bankową ideologią Skwary mam wielką ochotę wystawić jemu i „Gazecie Bankowej” rachunek za wszystko, w co wyposażyla ich kultura narodowa, a za co dotąd nie zapłacili ani grosza. Poczynając od nauki czytania i pisania, przez paciorki, wierszyki i czytanki szkolne, aż po widoki Wawelu i kolumny Zygmunta. Za język, którym się posługują, za uformowanie osobowości, psychiki, wrażliwości, obyczaju, sposobu komunikowania się ze światem i ludźmi, za całą ukształtowaną przez kulturę — i to bezpłatnie — przestrzeń życiową obywatela naszego kraju, którą można porównać tylko do powietrza, dostępnego na równi dla wszystkich.

Nie wypłacicie się nigdy. Żaden z nas, choćby nie wiem jak bogaty i „urynkowany” pod każdym względem, nigdy się z tego długu kulturze i ludziom kultury nie wypłaci.

Nie opłaciła się wielkoduszna inwestycja uczyniona na rzecz wykształcenia i wychowania Mariana Skwary i redaktorów „Gazety Bankowej”. Pasożytywali i pasożytują na kulturze. Nic to. Bóg z wami. Biczcie darmo.

Ale przy okazji nie okradajcie kultury z jej życiowego minimum.

Andrzej Jarecki

smak detalu

Życie przed śmiercią i życie po śmierci

Emisja w telewizji polskiej pełnej wersji filmu relacjonującego tak zwany proces Nicolae Ceausescu i jego żony Eleny odbyła się w czasach — jak na potrzeby felietonu — niemalże zamierzchłych. Czy ktoś to jeszcze pamięta? Jeżeli jednak pamięta, może przypomni sobie również, że za dojrzałych do oglądania uznano tylko tych, którzy nie spali jeszcze o wpół do dwunastej wieczorem. Najwyraźniej ktoś orzekł, iż dokument ów można pokazać tylko późno, na prawach ostrej pornografii.

Jak wiadomo, kasety wykradziono z Rumunii, sprzedano za pięćdziesiąt tysięcy franków, po czym po raz pierwszy pokazano we Francji. Moment wybrano uważnie i dość szczęśliwie: na około miesiąc przed planowanymi przez Front Ocalenia Narodowego wyborami w Rumunii. Mówię „szczęśliwie” gdyż film w świetle całkiem jednoznacznie pokazuje trybunał sądcy niedawnego dyktatora. Trybunał, czyli ramię rewolucyjnej sprawiedliwości Frontu. Nic dziwnego, że Front Ocalenia gotów bodaj zrobić całkiem sporo, by nie ocalić tych, którzy kasety wykradli.

Po emisji, około w pół do pierwszej, odbyła się dyskusja, którą prowadzący redaktor, nawiązując do wyświetlanego właśnie dokumentu zakończył pytaniem, czy telewizja powinna pokazywać tak drastyczne okrucieństwo. Obaj uczestnicy dyskusji, dominikanin, ojciec Jacek Salij, i socjolog, docent Jacek Kurczewski — nie najgorsza przecież, jak na dwuosobową, reprezentacja speców od moralności i polityki społecznej — jak jeden mąż wskazali w odpowiedzi kciukiem w dół. Duchowny rekomendował w takich przypadkach serwis informacyjny skróconych, a świecki — ośmielony przez duchownego — z dumą przywołał rok 1980, kiedy to czujność w sferze drastyczności obyczajowej kazała mu już wówczas oddać głos na rzecz utrzymania w tej dziedzinie cenzury rewolucyjnej. W tym przypadku jednak — przypomnę — były to wypowiedzi na marginesie wyświetlonego kilka minut wcześniej zapisu z sądowej farsy odbytej pod wezwaniem i w imię Ocalenia Narodu.

Kłopot, z którym telewizyjni dyskutanci jakby sobie nie poradzi, polega na mylnym

moim zdaniem kwalifikacji. Istnieje po prostu wyraźna różnica między, na przykład, sceną egzekucji wykonanej na więzieniu unieruchomionym w krześle elektrycznym, a sceną przedstawiającą w akcji nie mający nic wspólnego z cywilizowanym sądem tak zwany wymiar sprawiedliwości. Okrucieństwo, które znamy z filmu *This is America* jest okrucieństwem filmującego. Rozpoznamy je i odbieramy jak rzecz z kategorii zdarzeń moralnie sprostnych, przede wszystkim dlatego, że scenę egzekucji sfilmowano w celu sensacyjnym, aby dogodzić zdrożnej, bo tępej ciekawości. Film o małżonkach Ceausescu do tej samej kategorii zaliczyć byłoby trudno. W istocie jednak dyskutanci tak go potraktowali.

Padła wprawdzie dość oczywista uwaga, że film w gruncie rzeczy ukazuje zwycięstwo dyktatora zła: dalszy ciąg totalitarnego bezprawia (po staremu) przebranego w szatki praworządności i (po nowemu) zatrudnionego

w służbie rzekomej demokracji. Wspomniano też, że Ceausescu budzi w filmie litość. Zabrakło jednak kilku zdań o tym, co oznacza owa litość (jeśli słowo litość w ogóle nazywa rzecz po imieniu). A oznacza nie tylko, i nie tyle, triumf doktryny usankcjonowanego bezprawia, którą Ceausescu tak skutecznie praktykował za życia, ile — paradoksalnie — również elementarne zwycięstwo moralne pojedynczego człowieka nad organem zbiorowej przemocy. Oto prawdziwa przemiana — z oprawcy w ofiarę.

Kłopotliwym paradoksem jest naturalnie to, że przedmiotem i podmiotem transformacji jest twórca jednego z najbardziej odrażających systemów współczesnej Europy, dyktator, któremu — zdawać się mogło — nie tylko obca jest jakakolwiek ludzka godność, ale któremu również sami być może gotowi byliśmy odmówić prawa do niej. Tymczasem, ku naszemu zaskoczeniu, dyktatorowi nie tylko udało się

obronić własną godność, ale z konfrontacji z sądzącymi go dżentelmenami z naganami w kieszeniach wyszedł z ową nieoczekiwaną nadwyżką moralną (jeśli nie znać go wręcz całkowitym zwycięzcą). A zwycięstwa moralne — nawet te odniesione przez tyranów, nawet w chwili ich śmierci — nie są kompletnie pozbawione znaczenia.

Jeśli w dodatku Ucieśnienie Zła odnosi moralne zwycięstwo (przypomnę jeszcze, że wkrótce po procesie przewodniczący Trybunału popełnił samobójstwo), czy nie bardziej odrażający wyda się nam pokonany przeciwnik? To nauka, z której pożytek byłby zapewne większy, gdyby nie czekano z emisją do tak późnej pory, i gdyby miłośnicy dyskusji wydobyli ten moralnie nieco silniejszy. Bo może powinni byli to uczynić — w ramach odkłamywania świata z dwóch kolorów.

Skalka Lato

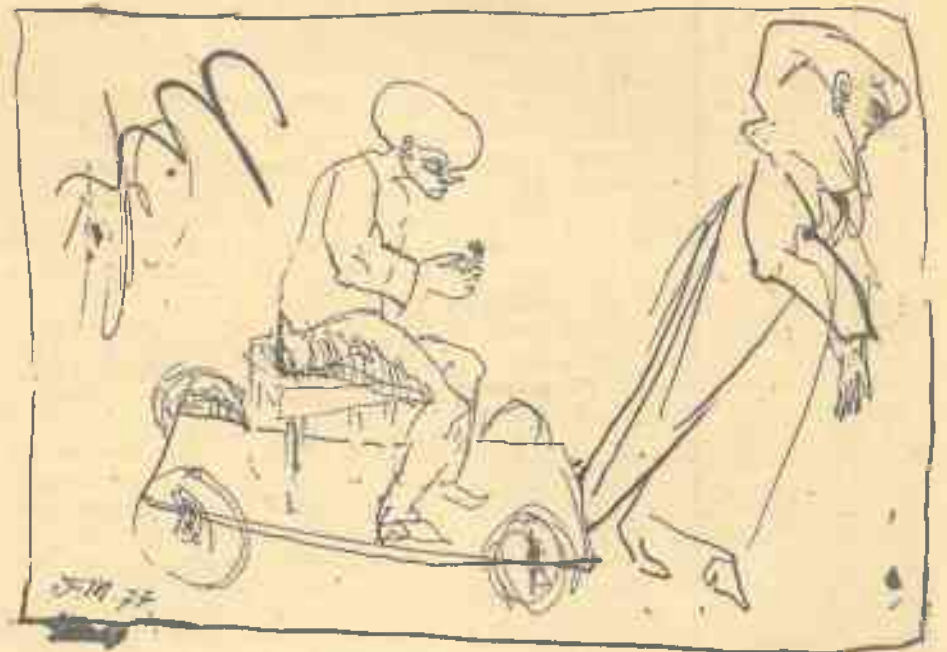
Patrząc na rysunki Maśluszczaka...

Powiedział ktoś, że malarz prawdziwy to taki, który objawia rzeczy utajone. Gdyby to była prawda, mielibyśmy dziś malarstwo bardziej prawdziwe, niż sama rzeczywistość, a przecież w końcu wszystko, co widzimy jest w swej istocie utajone. Nie wiemy, czym są te postacie... jeśli w ogóle są. Nie ma rzeczy utajonych tam, gdzie wszystko jest niejasne i tajemnicze. Czasami jedno słowo, jeden gest lub znak, potwierdzają to przeczące. Nie znamy odpowiedzi na pytania istotnych. Najpierw zdolność samodzielnego myślenia przypisano jednej tylko grupie — nazywanej szyderczo inteligencją — a potem myślenie czyste uznano za pretensjonalne i jałowe. Cień, jaki rzuca tajemnica, stał się większy i groźniejszy. Wlecze go dziś za sobą z beztróskim hafasem...

Może dlatego nikt już nie wie, co to enantiodromia, a co apokatastaza i tak trudno rozmawiać o tym, czy jesteśmy dziś, aby jutro nie być, czy też w oczekiwaniu nieznanego Pełni, jesteśmy purum nihil. Więc może tak: *jest inaczej niż jest, jeśli w ogóle jest.*

— Czemu tak niejasno? — powiedziała mi pewna pani. Więc może tak, aby było też o paniach:

W hiszpańszczyźnie, języku niebios (jak chciał potężny Karol V) to ontologiczne rozróżnienie wyrażone jest dwoma



postaciami słowa „być”: mamy doraźne *estar* i istotne *ser*. Dlatego diabeł kuszący Szymona Stylitę mówi (w *Szymonie Słupniku* Buñuela): „En mi reino, Simón, ni son todos los que están, ni están todos los que son” („Dośmego królestwa, Szymonie, należą nie wszyscy, którzy w nim przebywają, ani też przebywają w nim ci wszyscy, którzy doń należą”) a zapytany kim jest, odpowiada: „Jestem tylko nie-

winną dziewczynką”. Pokazuje anachronie uda i mówi: „Zobacz, jakie niewinne nogi”. A kiedy Szymon Słupnik nie ulega, diabeł zamienia się w starą wiedźmę.

Ta dwoista wizja rzeczywistości, dwie postacie tej samej rzeczy, to właśnie enantiodromia. Zgoda na nią to apokatastaza.

Rysunek jako akt wybaczenia. Wybaczenie jako sztuka.

Rajmund Kalicki